



Jackie Braun



Odzyskane szczęście

PROLOG

Dłoń Jake'a McCabe'a bezwiednie zacisnęła się w pięść. Ból, rozpacz. Nieznajdujący ujścia gniew prowokował, by zrobić z pięści użytek. Walnąć z całej siły w cokolwiek. Zakrwawiona, poobijana dłoń to nic, jeśli dzięki temu można poczuć ulgę.

Rozprostował palce, sięgnął po pióro i otworzył dziennik, w którym był tylko jeden zapis. Sprzed kilku miesięcy, kiedy psycholog policyjny poradził mu, by prowadził taki dziennik. Podobno człowiek zapisując myśli, może dać upust emocjom.

Co on tam wtedy napisał? Niewiele.

„Bzdura. Wcale nie uważam, że pisanie o tym, co czuję, może coś dać”.

Teraz jednak, kiedy rozjątrzyła się nowa rana, zaczął przelewać na papier słowa, których nie wypowiadał na głos. Bał się, poza tym był pewien, że nawet jeśli je wykrzyczy, i tak nie zazna spokoju. Ale może ten psycholog ma rację, twierdząc, że bezwzględnie należy wyrzucić to z siebie. Więc wyrzucał. Pióro biegało po papierze, pozostawiając za sobą jedno słowo po drugim, cały gorzki potok, kreślony niespokojną ręką.

Skończył. Spuścił głowę i zapłakał. Łzy kapały na kartkę, rozmazując atrament. Pierwsze zdanie było już praktycznie nieczytelne. Nieważne, on te słowa zapamięta na zawsze.

„Dziś Miranda zabiła nasze dziecko”.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Samochód walnął w zwały śniegu z taką siłą, że otworzyła się poduszka powietrzna. Ale to dobrze, bo przynajmniej się zatrzymał. W śniegu, na poboczu dwupasmówki przecinającej klonowy las.

Caroline Franklin Wendell oderwała palce od kierownicy i otarła twarz drżącą ręką. Przez kilka ostatnich chwil czuła wyłącznie strach. Paniczny. W takich momentach człowiekowi staje przed oczami całe życie. Ona też je zobaczyła. Życie, ale nie swoje, lecz synka. Jak by wyglądało, gdyby jej zabrakło. Gdyby teraz umarła.

Zawiodłaby go na całej linii, bo wtedy jego wychowaniem zajęłyby się dwie osoby. Ojciec i babka.

Już na samą myśl czuła ciarki na plecach.

Wbiła wzrok w przednią szybę. Maskę samochodu do połowy schowana była w śniegu. Konsekwencja poślizgu.

Poślizg... To właśnie stało się z jej życiem. Straciła nad nim kontrolę przed czterema laty, gdy wyszła za mąż za Trumana. Do dziś trudno jej było uwierzyć, że coś takiego zrobiła. Tak samo trudno było znieść myśl, że najprawdopodobniej tego błędu nie da się naprawić.

Tego ranka, kiedy ruszała w drogę, jeszcze tliła się w niej nadzieja, że znajdzie sposób, by zakończyć ten koszmar. Już nie tyle ze względu na nią, ile na Cabota, jej synka, jej skarb. Oprócz niego nic dobrego nie wynikło z małżeństwa ze spadkobiercą majątku jednej z najpotężniejszych, najbardziej wpływowych rodzin w Nowej Anglii.

Teraz jednak, kiedy cała rozdygotana opierała czoło o kierownicę, ostatecznie pogodziła się z prawdą.

Truman miał rację.

Robię to dla twojego dobra, Caroline. Potrzebujesz mnie...

Nie miała pojęcia, jak długo siedziała z czołem przyklejonym do kierownicy. Resztki ciepła uleciały z samochodu, teraz był jak lodówka. Palców, mimo ciepłych skórzanych rękawiczek podbitych kaszmiem, właściwie już nie czuła. Kompletnie zgrabiły, jednak udało jej się wydobyć z torebki komórkę. Musiała przecież powiadomić męża,

że jej przyjazd się opóźni. I, jeśli okaże się to konieczne, będzie błagać, by dał jej jeszcze trochę czasu. Tak, błagać. Przecież chodziło o synka.

Poza tym musi skontaktować się z warsztatem samochodowym. I znaleźć schronienie, gdzie będzie mogła poczekać, aż naprawią auto.

Otworzyła telefon i na moment znieruchomiała, zapatrzona w tapetę na wyświetlaczu. Zdjęcie synka. Uśmiechał się, radosny, beztroski. Cabot... Rozczulona, delikatnie powiodła palcem wokół słodkiej twarzyczki. I nagle sposepniała, kiedy dotarło do niej, że nie ma zasięgu.

Otworzyła drzwi i wstępując w puszystą, sięgającą do kolan biel, podniosła wysoko komórkę. Jak najwyżej ku niebu. Zrobiła półobrót.

Dalej nic.

Wsadziła komórkę do kieszeni parki i zaklęła. Niegłośnie przekleństwo w formie małej białutkiej chmurki uleciało w świat.

Co robić? Czekać na pomoc? Bez sensu, bo tylko ktoś całkowicie pozbawiony rozsądku decyduje się na jazdę samochodem w taką pogodę. Ją do tego kroku popchnęła desperacja.

Spojrzała na drogę. Kiedy warunki na autostradzie międzystanowej zdecydowanie się pogorszyły, postanowiła zjechać na dwupasmówkę. Wtedy zauważyła stację benzynową. Jak daleko stąd? Jakies trzy, cztery kilometry, w sumie niedaleko. Iść tam? Da radę, ma przecież na nogach botki... Owszem, ale z cienkiej skóry i na kilkucentymetrowych obcasach. Nie na taką pogodę.

Spojrzała w drugą stronę. Zawiana śniegiem droga, jeszcze więcej klonów po obu stronach. Z wypadku udało jej się wyjść obronną ręką, ale nadal była w lesie. Dosłownie i w przenośni.

Pod powiekami zakłuło od natłoku łez. Oddychanie przychodziło z coraz większym trudem, odżył strach. Boże wielki, i co ona teraz zrobi? Przecież musi jechać, skoro wyznaczono jej termin.

Nagle poprzez szum wiatru usłyszała coś jeszcze. Jakies bardzo radosne dźwięki. Tak, to chyba dzwoneczki... Niemożliwe. To tylko wytwór wyobraźni, zainspirowanej podmuchami wiatru.

A jednak nie, bo chwilę później zobaczyła konia, na koniu jeźdźca - mężczyznę w kapeluszu i jasnobrązowym kozuchu przyprószonym śniegiem. Wyglądał jak zjawa, jak postać ze snu. Tak myślała, ale kiedy podjechał bliżej i zobaczyła jego twarz, zmieniła zdanie. Żadna zjawa, tylko mężczyzna, o jakim marzą kobiety. Bardzo męski, bardzo przystojny.

Serce Caroline zabiło trochę szybciej, w tej samej chwili nogi odmówiły posłuszeństwa. Osunęła się w śnieg, zimny, biały, puszysty.

Jake na widok kobiety przy samochodzie ze zdumienia aż przetarł oczy. W taką przeklętą pogodę nikt o zdrowych zmysłach nie rusza się z domu. On się ruszył, ale tylko dlatego, że chciał się uspokoić, a koń znał drogę powrotną do domu lepiej niż jego właściciel.

Kiedy zauważył, że kobieta osuwa się na ziemię natychmiast zeskoczył z siodła i brnąc przez głęboki śnieg, dopadł do niej.

Chronić i służyć.

Bardzo dawno temu te słowa były jego mantrą.

Teraz już nie, dlatego zwalczył pierwszy odruch, żeby ją podnieść. Nie wyciągnął rąk, tylko przykląkł.

- Proszę pani! Proszę pani! Co z panią?

Nie odzywała się. Leżała nieruchomo, wpatrując się w niego szklistym wzrokiem. W jej oczach był przede wszystkim strach. Wcale nie poczuł się tym urażony ani zaskoczony, kiedyś przecież taka właśnie reakcja na jego widok była na porządku dziennym.

Powoli podniosła rękę, drżący palec musnął jego twarz.

- Jesteś aniołem, prawda?

Aniołem?! Przez cały ubiegły rok obrzucano go różnymi epitetami, o aniele jednak nikt nigdy nie wspomniał.

- Nie, proszę pani. Z aniołem nie mam nic wspólnego.

- A ja myślałam...

- Czy pani jest ranna?

- Ranna? Chyba... nie.

- Jest pani pewna, że nie uderzyła się w głowę? Albo w coś innego?

Spojrzał przelotnie na samochód. Poduszka powietrzna była otwarta, co na pewno zmniejszyło siłę uderzenia, ale to jeszcze nie dowód, że kobieta nie odniosła żadnych obrażeń.

- Ze mną wszystko w porządku - oznajmiła i zaczęła podnosić się z ziemi.

On również wstał, zaskoczony, że jest bardzo wysoka. Czubkiem głowy sięgała mu do nasady nosa. Jej stopy grzęzły w śniegu, nie miał jednak wątpliwości, że tkwią w butach na wysokich obcasach. Reszta garderoby była równie niepraktyczna. Nieznajoma miała szczęście, że się na nią natknął. Gdyby była sama, jeszcze godzina, dwie i byłoby po niej.

Ludzie cię potrzebują, Jake.

- Co innego mój samochód - dodała kobieta. - Na pewno trzeba odholować go do warsztatu.

Ludzie liczą na ciebie, Jake.

- Nazywa pani to samochodem? Wygląda na zabawkę.

Zaśmiała się, nie tyle radośnie, ile histerycznie.

- Nie wie pan przypadkiem, czy w okolicy jest jakiś warsztat samochodowy? I działający telefon? Moja komórka jest bezużyteczna.

- Może pani zadzwonić z zajazdu.

- Z zajazdu?! - Oczy kobiety roz błysły nadzieją. - Naprawdę jest tu coś takiego?

Skinął głową.

- Tak. Nie dalej niż pół kilometra stąd.

- Myśli pan, że będą mieli wolny pokój?! - krzyknęła, łapiąc go za rękę. - Och, proszę, niech pan powie, że tak!

- Jestem pewien, że coś się znajdzie. Zawiozę panią.

Miał na myśli stary zajazd, którego okres świetności dawno minął. Teraz była to po prostu rudera. Stan nieciekawych, adekwatny do stanu ducha człowieka, który kupił ją jakiś czas temu. Oczywiście zajazd zamknięty był dla gości, z tym że w ten świąteczny weekend ktoś jednak do niego przyjechał. Rodzice, brat z żoną i dziećmi. Niezapowiedziani zwalili mu się na głowę poprzedniego dnia. Cała rodzina w komplecie, w konsekwencji

czego Jake teraz, podczas zamieci, był tutaj. Nie w domu, ponieważ zdążył już się pożreć z bratem.

- Dziękuję... Ale zaraz... czyżby pan zamierzał zawieźć mnie na tym?!

Jej spłoszone spojrzenie skierowane było na Bess, klacz rasy klajdesdale. Kiedy zajazd wystawiono na sprzedaż, w ofercie uwzględniono również Bess, i w ten oto sposób Jake stał się właścicielem nie tylko zajazdu, lecz także konia.

- Tak, właśnie na tym.

- Nie ma takiej potrzeby, naprawdę. Mogę iść na piechotę. Przecież to, jak pan mówił, zaledwie pół kilometra - oświadczyła, robiąc pierwszy, bardzo niezręczny krok przez głęboki śnieg.

- No pięknie! - sarknął Jake. - Chce pani iść?! W takim ubraniu zamarznie pani już po dziesięciu metrach!

- Zrobię, co uważam! I dam radę, słyszy pan? Bo nie jestem żadną oferumą!

Gwałtowny protest odbił się szerokim echem od zwartej ściany klonów, strząsając przy okazji śnieg z kilku gałęzi. A Jake pomyślał, że ta istota faktycznie może i nie jest bezradna, ale na pewno zdesperowana. Ciekawe...

Jej sprawa. Niech robi, co chce. Nie będzie się narzucał, w końcu przecież odszedł już z tego biznesu bohaterów, prawda?

A jednak powiedział:

- Wezmę panią na siodło.

Spojrzała podejrzliwie na ogromnego konia. Było jasne, że się boi.

- Ja naprawdę mogę iść.

- Konno będzie pani tam dwa razy szybciej - powiedział, tym razem starając się, żeby zabrzmiało to zdecydowanie łagodniej. - Proszę nie bać się Bess. Owszem, nie jest mała, ale to naprawdę łagodna bestia.

- No tak... - Kobieta spojrzała na samochód. - Ale co z moją torbą?

- Jak duża jest ta torba?

- To coś w rodzaju kosmetyczki. Leży na podłodze przed fotelem z przodu.

Spojrzał przez szybę do środka samochodu i się skrzywił. Torba faktycznie była niewielka, na pewno pozwoliliby wziąć ją na pokład samolotu. Ale teraz czekała ich niebezpieczna jazda, bardzo uciążliwa.

- Wrócę po nią.

O dziwo, nie dyskutowała, tylko bez słowa ruszyła przez śnieg. W jego stronę, czyli do konia. Z tym że jednak nie bez słowa, bo gotów był przysiąc, że wśród zawożenia wiatru słyszy również cichy pomruk:

- Zrobię to, zrobię. Dam radę.

Pomógł jej wgramolić się na grzbiet Bess, potem sam zręcznie wskoczył w siodło. Bess poruszyła się niespokojnie. Nie była przyzwyczajona do dźwigania jeźdźca, a co dopiero dwóch! Jake w tym momencie całkowicie solidaryzował się z klaczą.

- Ho, ho, mała... - przemówił do konia łagodnym głosem, poklepując go po szyi. - Wszystko w porządku. Daj nam tylko chwilę, żebyśmy mogli się usadowić.

- Bess, prawda? Wiem już, jak nazywa się pański koń, ale pańskiego imienia jeszcze nie znam - powiedziała nieznajoma.

- Jake. Jake McCabe.

Przedstawił się, jednocześnie przygotowując się psychicznie na jej reakcję. Przecież jego nazwisko przez długi czas było symbolem wszelkiego zła.

Na niej jednak nie zrobiło żadnego wrażenia. Po prostu przyjęła je do wiadomości i podała swoje.

- Caroline. Caroline Franklin... Dla bliskich znajomych po prostu Caro.

- Caro. Bardzo ładnie. A więc jak, Caro? Możemy ruszać?

Kiwnęła głową i Jake lekko ścisnął boki konia łydkami. Jechali o wiele dłużej, niż się spodziewał. Śnieg sypał nieprzerwanie, porywisty wiatr wciąż przybierał na sile.

Kiedy wreszcie zauważył zajazd, aż westchnął z ulgi. Widok tego domu zawsze wpływał na niego kojąco. Stał pod koronami ogromnych rozłożystych drzew, frontem zwrócony ku drodze. Szeroka weranda pokryta była kilkucentymetrową warstwą śniegu.

Na werandzie, jak tylko zrobi się ciepło, ustawi drewniane fotele bujane. Tak zaplanował. A wspomniane fotele produkował sam. Lubił stolarkę i był w tym niezły dzięki

ojcu, który wszystkiego go nauczył. W rezultacie, kiedy większość policjantów po złym dniu w pracy sięga po alkohol, Jake odreagowywał stres w warsztacie.

To pomogło mu też zachować zdrowe zmysły, kiedy czekał na wynik śledztwa, prowadzonego po strzelaninie, w której zginęli niewinna kobieta i jej dziecko. Podczas obławy. Polowali na handlarza narkotyków. To nie Jake wówczas strzelał, ale to on dowodził.

Niestety otoczono niewłaściwy dom.

Zanim ukończono śledztwo, Jake zdążył zrobić dwa fotele. Żaden psycholog nie musiał mu tłumaczyć, że praca fizyczna pomoże utrzymać nerwy na wodzy.

Z foteli był bardzo zadowolony, z wyniku śledztwa już mniej.

Adres, jaki mu przekazano, podobno był właściwy, tylko on się pomylił. Bzdura, nigdy w życiu nie popełniłby takiej pomyłki. Niestety, papiery gdzieś się zawieruszyły, nie był w stanie tego udowodnić.

Po zamknięciu śledztwa do jego akt personalnych wpisano nagane, pozwolono mu jednak wrócić do pracy. Ale na tym nie koniec. Młody policjant, który oddał wtedy strzały, popełnił samobójstwo. Nie potrafił żyć dalej ze świadomością, że ma na rękach krew dwóch niewinnych osób. Zabił się, a opinia publiczna obwiniła Jake'a również za tę śmierć.

W Buffalo, gdzie po studiach w college'u przepracował w policji prawie dwanaście lat, stał się teraz wyrzutkiem. Wielu ludzi zaczęło go unikać. Związek zawodowy zamierzał podważyć wyniki śledztwa, walczyć o dobre imię Jake'a. Jednak kiedy kapitan dyskretnie zasugerował mu odejście z pracy, posłuchał. Prawdę mówiąc, sam o tym rozmyślał.

Jego zdaniem, nie było o co walczyć. Zginęła kobieta, zabito jej dziecko. Nawet jeśli nie pomylił adresu, dowodził akcją. Potem młody policjant odebrał sobie życie. A potem ta historia z Mirandą...

Pół roku temu spakował się i odszedł. Nie tylko z policji. Wyjechał też z Buffalo.

Postanowił wtedy odwiedzić pewne miejsce w Górach Zielonych, o którym zachował jak najlepsze wspomnienia. Pewien zajazd u podnóża góry Wielbłądzi Garb. Przyjeżdżali tu całą rodziną, zarówno w lecie, jak i w zimie. Miał nadzieję, że teraz znów

poczucie magię tego miejsca. Niestety, czekała go przykra niespodzianka. Zajazd, wyraźnie popadający w ruinę, nie przyjmował już gości. Był wystawiony na sprzedaż.

Więc go kupił. Miejscowi nic się nie zmienili. Bardzo uprzejmi wobec przyjezdnych, jednocześnie trzymali się na dystans. Jake'owi bardzo to odpowiadało. W końcu nie przyjechał tu szukać przyjaciół, lecz spokoju.

- Czy to już tutaj?

Jake dopiero po chwili zorientował się, że koń, minąwszy zajazd, zatrzymał się przed drzwiami niewielkiego budyneczku, który służył mu jako stajnia.

- Myślę, że Bess chętnie schowa się przed zamiecią.

- Ona tutaj mieszka? Ty też?

- Tak. Jestem właścicielem.

Brwi Caro przesunęły się trochę wyżej. Zaskoczona? Oczywiście. W niczym przecież nie przypominał uprzejmego, uśmiechniętego właściciela pensjonatu. Poza tym ten pensjonat wśród chwastów i zarośli, z odpadającą farbą ze ścian i obluzowanymi deskami, raczej nie nadawał się do zamieszkania.

- Jestem w trakcie remontu. Ale zapewniam, w środku jest ciepło i sucho. Zaprowadzę cię tam i pojedę po twoją torbę - powiedział do Caro, potem zwrócił się do konia:
- Przepraszam, Bess, ale niestety masz jeszcze coś do zrobienia.

Śnieg padał i padał. Najrozsądniej było nie przedłużać rozmowy, tylko jak najszybciej wejść do środka.

Jake zeskoczył z konia i wyciągnął ręce, ofiarowując Caro pomoc przy zsiadaniu. Ważyła tyle co dziecko. Najprawdopodobniej stosowała jakąś kretyńską dietę, na przykład jadła tylko owoce i piła specjalne napoje. No cóż, takie są baby. Nigdy tak do końca ich nie zrozumiesz.

Kiedy znaleźli się już w głębi werandy, Caro uśmiechnęła się do niego. A on, niby taki odporny, odebrał ten uśmiech jako niesamowicie seksowny.

A to, co zaraz potem powiedziała, było nawet sympatyczne.

- Wolalabym, żebyś został.

- Został? - powtórzył lekko nieprzytomnym głosem, zapatrzony w jej zarumienione policzki.

- Chodzi o moją torbę. Przecież jest... - Tu nastąpił szeroki gest, prawie zamachnęła się, wskazując i na niebo, i na ziemię. - ...okropnie. Okazałeś mi już tyle uprzejmości. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby w drodze coś ci się stało.

Jake, zaskoczony, aż zamrugał oczami. Nieznajoma martwiła się o niego! Coś niebywałego.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście!

Pokiwała głową, i kilka malutkich grudek topniejącego śniegu poleciało na ziemię. Odruchowo podniósł rękę i strzepnął z mokrych włosów kilka następnych grudek. Zauważył, że podczas tej operacji Caro zadrżała, po czym szybko spojrzała w bok. Czyżby poczuła się urażona zbyt poufałym gestem? Jeśli tak, należałoby przeprosić...

Nie zdążył, ponieważ drzwi tuż przed nimi nagle stanęły otworem. W progu ukazała się Doreen McCabe, jego matka. Ręce opierała na biodrach, patrzyła groźnie.

- Jacobie Robercie McCabe, czy ty kompletnie...

Nagle Doreen zauważyła Caro i od razu spuściła z tonu.

- O, miło powitać! Jestem Doreen, matka Jake'a.

- A to jest Caroline Franklin - zakomunikował Jake.

- Caro... - sprostowała Caroline.

- Nie wiedziałam, że Jake spodziewa się gości.

- I nie myliłaś się - mruknął Jake i się zaśmiał.

Doreen natychmiast stanęła na wysokości zadania, przy czym jej głos uległ kolejnej transformacji. Teraz przełączyła się na ton, którym przez lata przywoływała syna do porządku.

- Jake, na litość boską, co tak stoisz? Wprowadź to biedactwo do środka, zanim zamarznie na śmierć! Przecież cała dygocze! Musi jak najszybciej pozbyć się mokrego ubrania!

ROZDZIAŁ DRUGI

Doreen przytrzymała drzwi i Caro weszła do holu, wzdychając z rozkoszy. Było ciepło i głośno. Słysząc było kilka osób, między innymi piski i pokrzykiwania rozba-
wionych dzieci. Dlatego też, kiedy zgrabiałymi palcami starała się w miarę sprawnie
rozsunąć suwak w botkach, pozwoliła sobie na małą uwagę. Półgłosem:

- Chyba mówiłeś, że zajazd nie jest jeszcze otwarty dla gości.

- Bo nie jest - mruknął Jake, zajęty zdejmowaniem kozucha. - To rodzina, nieste-
ty...

- Wprosililiśmy się do Jake'a na święta - poinformowała Doreen. Odebrała od Caro
parkę, od Jake'a kozuch i powiesiła. - Idę teraz po ręczniki dla was, a wy usiądźcie przy
kominku, żeby się ogrzać.

Caro prawie się uśmiechnęła. Jake raczej nie sprawiał wrażenia człowieka, który
lubi dyrygować innymi. Co innego jego matka, nie miała problemu z wydawaniem roz-
kazów, których syn słuchał bez szemrania. Zaprowadził Caro do dużego pokoju, gdzie w
ogromnym kominku wesoło trzaskał ogień. Koło kominka stał duży wygodny fotel. W
fotelu siedział starszy pan i palił fajkę. U jego stóp bawiła się dwójka dzieci, dziewczyn-
ka i chłopczyk, trochę starsi od Cabota. Naprzeciwko, na kanapie, urzędowała młoda pa-
ra, przytulona do siebie pod grubą narzutą. Rodzina.

Caro zakłuło w sercu.

Jej rodzice przed pięcioma laty zginęli w wypadku samochodowym. Na Caro spadł
smutny obowiązek zidentyfikowania ciał. Czyż może być bardziej namacalny dowód, że
ktoś odszedł na zawsze? Nie, ale ona i tak do dziś łapała się na tym, że czasami sięga po
telefon, żeby do nich zadzwonić...

Po ich śmierci czuła się taka samotna, taka zagubiona. Chyba dlatego wyszła za
Trumana. Tak tylko można wytłumaczyć to żalosne posunięcie. Truman bardzo jej
współczuł, jednocześnie pomagając podjąć decyzję. Sama by tego nie zrobiła, była wtedy
strzępkiem człowieka.

Dopiero później uświadomiła sobie, że Truman po prostu znakomicie potrafi ma-
nipulować ludźmi.

Potrząsnęła głową. Nie, nie pora na smutne refleksje. Przecież jest powód do zadowolenia. Dom pełen ludzi, nie będzie musiała spędzić nocy wyłącznie w towarzystwie mrukliwego właściciela. Chociaż sytuacja i tak była krępująca, skoro odbywa się tu coś w rodzaju zjazdu rodzinnego.

Nie czuła się z tym najlepiej. Oczy wszystkich natychmiast zwróciły się w jej stronę. Starszy pan spojrzął znad książki, dzieci przerwały zabawę, a para na kanapie błyskawicznie zmieniła pozycję. Z leżącej na siedzącą.

- Wujek Jake wrócił! Wujek Jake! - zwołała radośnie dziewczynka.

Poderwała się z podłogi i przypadła do wujka, a chłopiec zaraz za nią. Caro się uśmiechnęła. Cabot na pewno zachowałby się tak samo, a Truman poczułby się skrepowany. Tymczasem Jake po prostu wziął malca na ręce.

- Cześć, krasnoludku!

Serce Caro podskoczyło. Szkoda, że Cabot nie ma taty, który by czasami po prostu z nim poszalał, a nie wiecznie strofował... Jake teraz w niczym nie przypominał burkliwego faceta, który jakiś czas temu zaofiarował jej schronienie przed zamiecią. Teraz uśmiechał się szeroko, wyglądał po prostu zniewalająco.

- Wujku, wujku! - zawołał malec. - A tata powiedział, że ty w tym śniegu odmroisz sobie głupi tyłek!

Caro oczywiście postarała się, by jej uśmiech był jak najbardziej dyskretny. Jake natomiast uśmiechnął się jeszcze szerzej. Jednak zaraz potem spojrzął groźnie na mężczyznę na kanapie. Ten natychmiast pochylił się, ręce oparł o kolana, w każdej chwili gotów zerwać się do walki.

Wygłupiali się, jak to bracia. Caro znów poczuła ukłucie zazdrości. Ona, niestety, była jedynaczką.

- Naprawdę tak powiedział? - spytał Jake ponurym głosem, choć oczy mu się śmiały.

Chłopczyk skwapliwie pokiwał główką.

- Tak, wujku! A dziadek powiedział, że przyda ci się chwila... samotności. Tak! Tak właśnie powiedział! I co, wujku? Przydała ci się?

Kąciki ust Jake'a wyraźnie drgnęły.

- W pewnym stopniu tak.

- Super! - zawołała dziewczynka. - Ale dobrze, że już wróciłeś. Mama i babcia bardzo bały się o ciebie.

- Tak powiadasz? A ty też martwiłaś się o mnie?

- Tylko trochę. Przecież wiem, że ty jesteś nie... nie... - Mała zerknęła w stronę kanapy. - Tato, jaki był ten pan wczoraj na tym filmie? Ten superbohater?

- Nie do pokonania - odpowiedział tato.

- O właśnie! Jesteś, wujku, nie do pokonania!

Caro zauważyła, że Jake, zamiast cieszyć się ze słów uznania, wyraźnie spochmurniał.

- Trochę inaczej to wygląda - mruknął, spoglądając na brata.

Postawił chłopczyka na ziemi. Jednocześnie starszy pan wstał z fotela, a młoda para podniosła się z kanapy.

Dla Caro było jasne, że za słowami Jake'a coś się kryje, a atmosfera jest napięta. Trudno było tego nie wyczuć. Oczywiście nie zadawała żadnych pytań. Nie powinno ją to obchodzić. Była tylko obcą osobą, która zjawiła się tu niespodziewanie. Na szczęście kiedy tylko śnieg przestanie padać, a jej samochód zostanie doprowadzony do stanu używalności, odjedzie.

Tak. Ale w tym celu konieczne jest podjęcie pewnych kroków.

- Przepraszam, czy mogłabym skorzystać z telefonu?

Jake nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ zagłuszył go chłopczyk.

- Wujku, a kto to jest ta pani?

- Jestem Caro. Wasz wujek może i nie uważa siebie za bohatera, ale uratował mnie przed zamiecią. Mój samochód utknął w zaspie.

- Och... - burknął Jake. - Po prostu znalazłem się tam przypadkiem.

- A ja jestem Jillian - zakomunikowała słodkim głosem dziewczynka. - Mam sześć lat i jeden ząb już mi się rusza. Chcesz zobaczyć?

Nie czekając na odpowiedź, otworzyła szeroko buzię i czubkiem języka poruszyła jednym z przednim ząbków. Caro się uśmiechnęła.

- Jilly! - odezwała się karcąco młoda kobieta.

Wstała z kanapy i jako ostatnia z obecnych podeszła do Caro. W rezultacie teraz już wszyscy, uśmiechając się uprzejmie, stali przed nią w idealnym półkolu.

I wbijali w nią wzrok.

- Przepraszam za Jilly - powiedziała mama dziewczynki.

Caro naturalnie zaprotestowała.

- Ależ nie trzeba! Przecież pierwszy ruszający się mleczak to zawsze dla dziecka wielkie przeżycie!

Jake natomiast, jakby nagle przypomniał sobie o obowiązkach pana domu, odchrząknął i przystąpił do prezentacji.

- Caro, to Bonnie, moja bratowa. To Dean, mój brat. Z Jillian zawarłyście już znajomość. A ten młody mężczyzna to Riley.

- Mam pięć lat - zakomunikował Riley.

- Wcale nie! - zaprotestowała siostra. - Ma dopiero cztery, skończył w zeszłym tygodniu!

- Miło mi cię poznać, Riley - powiedziała Caro, nachylając się, by uścisnąć chłopcu dłoń.

Riley uśmiechnął się od ucha do ucha, w okrągłych policzkach pojawiły się rozkoszne dołeczki. Identyczne dołeczki jak u Cabota! Caro czuła, że topnieje jak wosk.

- A to mój ojciec, Martin McCabe - dokończył prezentacji Jake.

- Miło mi pana poznać, panie McCabe.

Drobna dłoń Caro całkowicie znikła w potężnej dłoni Martina.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

W tym momencie w pokoju pojawiła się Doreen z naręczem ręczników i Caro uprzytomniła sobie, że musi przedstawiać sobą żaloszny widok. Truman i jego matka byliby przerażeni, że w takim stanie pokazuje się obcym, chociaż akurat ci ludzie należeli do sfery, z którą Wendellowie nie utrzymywali kontaktów.

McCabe'owie byli podobni do jej rodziców, ludzi twardo stąpających po ziemi, ceniących sobie przede wszystkim rodzinę.

Rodzice... W sercu znów zabolowało.

Caro odruchowo objęła się ramionami.

- Na litość boską, dzieciaku! - wykrzyknęła zaniepokojona Doreen. - Przecież ty cała drzysz! Szybko, stań blisko ognia!

- Ale ja naprawdę... - zaczęła Caro, starsza pani jednak, nie zwracając uwagi na protesty, szybko wydała następne rozkazy:

- Martin, dorzuć do ognia. Dean, weź koc z kanapy i okryj dziewczynę. Szybciej, ruszajcie się. No tak... - Spojrzenie Doreen wróciło do Caro. - Jesteś wyższa od Bonnie i na pewno szczuplejsza. Ale zaraz znajdę jakieś ubrania.

- Och, proszę nie robić sobie kłopotu!

- Sama tego chciałaś - odezwał się nagle Jake, bardzo ostro. - Co ci przyszło do głowy, żeby jechać w taką zamieć!

- Jake! - krzyknęła ostrzegawczo Doreen.

Caro też zareagowała. Wyprostowała się, dłonie zacisnęła w pięści.

- Jechałam, bo musiałam!

- W taką zamieć się nie jeździ! Donikąd!

- Jacob!

Znów ostrzegawczy krzyk Doreen, na który żadne z nich nie zwróciło najmniejszej uwagi.

- Miałam bardzo ważne spotkanie! I to był ostateczny termin!

- W taką zamieć wszystkie spotkania są nieważne!

- Czasami tak!

Oczywiście! Kiedy pomyślała o synku, o warunkach, jakie postawił jej Truman, chciało jej się płakać.

- Chodziło o pracę? - Jake był wyraźnie zdegustowany. - Z takiego powodu narażałaś życie?!

O pracę?! Ach, niech myśli, co chce!

- Moja sprawa, z jakiego. W każdym razie na pewno zrobiłam to z konieczności, a nie dla przyjemności. Jak ty! Co ci przyszło do głowy, żeby w taką zamieć wybierać się na przejażdżkę konną?!

Wkurzyła się. Owszem. I dobrze, bo to było takie ożywcze po czterech latach trwania w stanie nieskończonej łagodności. Ściślej mówiąc, rozpaczy, a potem niedowierzania.

Jake już się nie odezwał. Z tyłu słychać było przytłumiony śmiech. Chyba Dean... Szybko przemknęła spojrzeniem po twarzach reszty klanu McCabe'ów. Nie, wcale nie sprawiali wrażenia oburzonych faktem, że wygarnęła jednemu z nich. Przeciwnie, byli rozbawieni.

Ale ona i tak poczuła się bardzo niepewnie. Bo niezależnie od tego, czy miała rację, czy nie, zachowała się nieelegancko.

- Przepraszam. Ja...

Nie dokończyła, ponieważ Jake raptem zdecydował się otworzyć usta.

- Chyba wspominałaś, że chciałybyś zadzwonić?

- A... tak. Z komórki nie mogę. Brak zasięgu.

- W takim razie proszę za mną.

Doreen zarzuciła jej koc na ramiona.

- Nie przejmuj się - szepnęła. - Z nim jak z psem, który dużo szczeka. Raczej nie gryzie.

Caro, szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziała, o co jej chodzi. Uśmiechnęła się więc tylko blado i podążyła w ślad za Jake'em do dużego biurka ustawionego w pobliżu drzwi wejściowych.

Na blacie leżała otwarta księga gości, pożółkła ze starości. Obok stał telefon, również nie pierwszej młodości. Prawdziwy zabytek, z okrągłą tarczą, słuchawką na widełkach.

- Ale to będzie zamiejskowa - uprzedziła.

- Nie szkodzi. Proszę dzwonić - odparł, popychając telefon w jej stronę.

- Pokryję koszty.

- Bez przesady.

Jake odszedł. Był zły, ale nie na Caro. Chociaż dalej twardo stał na stanowisku, że w taką pogodę samotna kobieta powinna siedzieć w domu, a nie wyjeżdżać samochodem. I to w sprawie pracy!

Był wściekły na siebie, że tak się na nią wydarł. Bez sensu. No i na młodszego brata, który głupim gadaniem wyrwał go z tak zwanej emigracji wewnętrznej. W rezultacie ożyły emocje, które z takim trudem dopiero niedawno udało się wyciszyć.

Zjawili się poprzedniego dnia wieczorem. Wysypali się z wynajętego samochodu, którym przyjechali z lotniska w Montpellier, i cali w uśmiechach zastukali do jego drzwi.

A następnego dnia o poranku Dean rzucił mu w twarz:

- Jesteś egoistą.

- Nie, po prostu chciałem pobyć sam. Mieć święty spokój.

- Nie, stary. Wrobili cię. Chcieli, żebyś wziął to na siebie. I tak się stało, bo uciekłeś. Ja tego kompletnie nie rozumiem.

- Nie rozumiesz? Zginęła kobieta i jej dziecko. Mój kolega po tym wszystkim popełnił samobójstwo!

A do tego wszystkiego Miranda...

- Ale to nie twoja wina! Przecież na pewno nie pomyliłeś adresu! Ktoś tak dokładny jak ty nigdy by czegoś takiego nie zrobił!

Jake bardzo chciałby w to uwierzyć, ale nie potrafił.

- Kierowałem tą akcją. Dlatego jestem winny. Wszystkiemu.

- A ty w kółko to samo. Chociaż minął już rok. Kiedy w końcu dasz sobie trochę luzu i wrócisz do normalnego świata?

Do normalnego świata... Niestety, tamta kobieta, jej dziecko i młody policjant nie mieli już takiej możliwości. Do tego dochodziły jeszcze inne fakty. Nękanie rodziny przez media, decyzja żony nie tylko o rozwodzie, lecz także o aborcji. W rezultacie uznał, że jedynym rozwiązaniem jest usunąć się w cień. Po prostu zniknąć.

- Nie mam do czego wracać.

- Rodzinę przecież masz, prawda?

Strzał był celny. Jake tęsknił za rodzicami, za bratem, za Bonnie i dziećmi. Przecież, niezależnie od spięć, byli naprawdę zżytą, kochającą się rodziną.

- Nie udawaj, Dean, że nie wiesz, o co chodzi.

Brat się skrzywił.

- Trudno nie wiedzieć. Jake, czy ty naprawdę chcesz w tych górach zacząć wszystko od nowa?

Jake milczał.

- Czyli jest tak, jak myślałem - stwierdził Dean. - Ukrywasz się. Dałeś się zaszczyć i teraz chowasz głowę w piasek, użalając się nad sobą. Jest ci wszystko jedno, co przeżywają matka i ojciec. Dzieciaki też. Wciąż pytają, dlaczego wujek wyjechał.

- A czy do ciebie nie dociera, że zrobiłem to właśnie dla was?!

- Nie dla nas. Dobrze wiesz, że potrafimy poradzić sobie w różnych sytuacjach. Zrobiłeś to dla siebie. Bo nie potrafisz pogodzić się z tym, co zrobiła Miranda.

Wtedy Jake nie zdzierzył i chwycił brata mocno za koszulę. Miał wielką ochotę mu przyłożyć, ale resztką sił się powstrzymał. Puścił go, zdarł kozuch z kołka i wypadł na dwór. Wściekły. I wciąż taki był, kiedy dostrzegł osuwającą się w śnieg Caro.

Caro...

Jego spojrzenie pomknęło ku otwartym drzwiom. Widział ją dobrze, choć nie słyszał ani słowa. Nie sprawiała wrażenia zadowolonej. Przeciwnie. Stała wyprostowana, sztywna, na twarzy ani śladu uśmiechu.

Ciekawe, o co tu właściwie chodzi.

Był pewien, że o coś więcej. Policjantem już nie był, ale nadal, jeśli chodzi o ludzi, miał niezłego nosa. A ta kobieta absolutnie nie wyglądała na kogoś, kto stawia na karierę zawodową. Nie pasowała do drapieżnego świata biznesu. Zbyt łagodna, zbyt delikatna. Poza tym ubrana jak bogaczka, a samochód byle jaki.

Narażała życie, żeby dotrzeć na umówione spotkanie.

Dlaczego?

Mówiła, że to bardzo ważne spotkanie. Może miała kłopoty z prawem? Na wyczuwanie Jake'a - nie. Ale kto wie? Tym bardziej że w pierwszej chwili zrobiła na nim wrażenie osoby bardzo zdesperowanej.

Dość tego. Nie ma się nad czym zastanawiać. Jej problem...

Dokładnie w chwili, gdy to pomyślał, wyraz twarzy Caro uległ zmianie. Znikła surowość, usta złożyły się do uśmiechu.

Ciekawe, kim jest ten ktoś, kto sprawia, że rozplywa się w uśmiechach...

Mówiła coś, jednocześnie nieświadomie bawiąc się przewodem. Owijała go wokół palca lewej ręki. Nie nosiła obrączki, żadnych pierścionków.

- Kocham cię.

Nie słyszał tego. Widział tylko poruszające się wargi, kiedy odkładała słuchawkę na widelki. Ale mógł przysiąc, że powiedziała właśnie to. Czyli ma kogoś. W sumie nic dziwnego, jest przecież bardzo atrakcyjna. Trudno, żeby tego nie zauważył, choć w jego przypadku nie miało to żadnego znaczenia. On z kobietami skończył. Definitywnie.

Nagle zorientował się, że Caro patrzy na niego. Chyba była speszona. No tak, przecież on przez cały czas gapi się na nią.

Zaklął cicho i szybko wycofał się w głąb kuchni. Zły, bo nie po raz pierwszy w życiu dał tego rodzaju plamę. Ale tak już miał. To Dean, uśmiechnięty i rozmowny, potrafił każdego oczarować. Zawsze był duszą towarzystwa. Jake nie, a ostatnimi czasy zrobił się z niego prawdziwy ponurak. Doskonale zdawał sobie sprawę, że potrafi być wręcz odpychający.

Caro również weszła do kuchni, więc wypadało coś powiedzieć.

- Dodzwoniłaś się?

- Tak, dziękuję.

- Kryzys zażegnany?

Zauważył, że po jej twarzy przemknął cień.

- Co masz na myśli?

- To spotkanie. Mówiłaś, że wyznaczyli ci ostateczny termin. Udało się przełożyć?

- W pewnym sensie tak.

- To chyba dobrze, prawda?

- Oczywiście.

Uśmiechnęła się, ale oczy mówiły coś innego. Co prawda, desperacja, jak dotąd doskonale w nich widoczna, jakby zbladła. Teraz był w nich niepokój.

Ach, zatem najpierw pożarła się z kochankiem, potem się pogodzili, ale z powodu zamieci i tak nie mogą spędzić świąt razem. Stąd jej kiepski nastrój.

- Czyli jest wyjątkowy - stwierdził. Na głos, co dotarło do niego poniewczasie.

Odpowiedź uzyskał natychmiast.

- O tak!

Aż westchnęła. Ale zaraz potem, zarumieniona i chyba speszona, spytała szybko:

- Zaraz, przepraszam. Ale kto?

Wszystko jasne. Sprawa zamknięta. Dlatego tylko mruknął:

- Nieważne.

- Muszę jeszcze zadzwonić do warsztatu - oznajmiła. - Masz tu może książkę telefoniczną?

- Znajdzie się.

Wrócili do biurka przy drzwiach. W jednej z szuflad Jake znalazł bardzo sfatygowaną książkę telefoniczną o zagiętych rogach. Sprzed kilkunastu lat.

- Nie masz czegoś bardziej aktualnego?

- Nie, ale nie sądzę, żeby miało to jakieś znaczenie. W tym mieście od co najmniej trzydziestu lat nic się nie zmieniło.

I to przede wszystkim przyciągało turystów. Przyciągnęło też Jake'a.

- Polecisz mi jakiś warsztat?

- Chwileczkę, niech się zastanowię... Zadzwoń do Orville'a. Ma holownik, poza tym podobno naprawdę zna się na samochodach.

Zostawił ją przy telefonie i wrócił do salonu. Rodzina od razu wzięła go w obroty. Pierwsza oczywiście matka.

- Kto to jest? Mów!

- Po prostu kobieta, której samochód wpadł w poślizg i zjechał z drogi.

- Przede wszystkim niezła laska - mruknął Dean, w konsekwencji czego został mocno trzepnięty po ramieniu przez żonę.

- Skąd ona jest?

- Skąd jechała?

- A gdzie jest teraz?

Jake najpierw odpowiedział na ostatnie pytanie, ponieważ zadała je matka.

- Dzwoni do warsztatu, żeby zajęli się jej samochodem. Do Orville'ów.

- Myślisz, że mają jeszcze otwarte? - spytał ojciec.

- Sądzę, że tak.

- Wątpię, żeby w taką pogodę przyjechali po jej wóz - stwierdził Dean.

- Raczej nie.

- Czyli będzie musiała zanocować tutaj - podsumowała Doreen. - Trzeba jak najszybciej przygotować jakiś pokój. Matko święta, ale który?! Przecież wszystkie wyglądają tragicznie!

- Rozejrzemy się - zaproponowała Bonnie i obie panie natychmiast ruszyły do drzwi.

- Spokojnie, bez paniki! - zawołał za nimi Jake. - Caro może zająć mój pokój.

Matka uśmiechnęła się i pokiwała głową, zadowolona, że syna stać na taki gest. Dean, jak to brat, uśmiechnął się bardzo znacząco, Jake więc przekazał jeszcze jedną istotną informację:

- Ja będę spał tutaj, na kanapie.

Dzieci wpadły w zachwyty.

- Tutaj!? Ja też chcę! Ja też! Mogę spać tutaj razem z wujkiem?

Riley aż podskakiwał z emocji. Jillian piszczała.

- Niestety. Śpicie na górze, razem z nami - oświadczyła matka i uprzedzając protesty, dodała szybko: - Zapomnieliście już, że dziś w nocy przyjdzie Wielkanocny Zajączek? Przyniesie koszycki ze słodyczami dla dzieci i będzie chciał je gdzieś schować. Ale jak zobaczy, że dzieci śpią na dole, to będzie miał kłopot.

Cisza. Czyli sprawa załatwiona. Z tym że Jillian miała nowy problem.

- A kiedy zaczniemy robić pisanki? - spytała, podskakując na jednej nodze.

- Pisanki! - krzyknął Riley. - Zacznijmy robić już teraz!

- Nie. Zabierzemy się za to po obiedzie - zarządziła matka.

Jake wiedział, że mają wszystko, co niezbędne podczas świąt Wielkiejnocy. Po drodze z lotniska wstąpili do sklepu i kupili mnóstwo rzeczy, począwszy od jajek, na szynce zapiekanej w miodzie skończywszy. Doreen przywiozła nawet z domu piękny płócienny irlandzki obrus.

Przemknął spojrzeniem po najbliższych. Dzieciaki brykają, dziadek siedzi przy kominku i pali fajkę. Niby tak jak zawsze. A jednak nie, kogoś brakuje...

Kogo? Bo na pewno nie jego byłej żony.

Spojrzał na drzwi. W progu stała Caro. Mimo mokrych włosów i poważnej miny wyglądała pięknie, uwodzicielsko. W niczym nie przypominała Mirandy, chociaż też miała na sobie ubrania w najlepszym gatunku. Ale Miranda miała ostre rysy, Caro bardzo łagodne.

Odchrząknął.

- No i jak? Udało się zwabić lawetę?

- Niestety nie. Zadzwoiłam tam, gdzie mi poradziłeś. Powiedzieli, że drogi są chwilowo nieprzejezdne, a poza tym już wcześniej dzwoniło do nich w tej samej sprawie kilkanaście osób. A jutro jest święto. Dlatego po mój wóz będą mogli przyjechać najwcześniej w poniedziałek. Dopiero! Może zadzwonić do innego warsztatu?

- Zadzwoić zawsze można, ale obawiam się, że powiedzą to samo.

- No tak...

Caro wyraźnie była bardzo zmartwiona.

- Ejże, głowa do góry! - zawołała wesoło Doreen. - Zostaniesz po prostu tutaj! Nie ma problemu. Zajmiesz pokój Jake'a.

W oczach Caro błysnęło. Zaskoczona? Przerazona?

- Och nie, dziękuję. Przecież nie mogę...

- Możesz - oświadczyła Doreen. - Jake sam to zaproponował.

- Tak - potwierdził Jake. - Dzięki temu matka i Bonnie nie będą musiały odgruzowywać któregoś z pokoi.

Caro się uśmiechnęła.

- Skoro tak...

- A teraz przede wszystkim powinnaś wziąć gorący prysznic - oświadczyła Doreen.

- Jake, zaprowadź Caro do łazienki, a ja z Bonnie poszukamy dla niej ubrań.

Jake karnie ruszył ku schodom. Caro za nim.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jake i Caro weszli na schody z piękną dębową poręczą. Niestety, kiedy Caro oparła się o nią, poręcz zaczęła się chwiać. Stopnie skrzypiały przeraźliwie.

Kiedy dotarli na piętro, Jake ruszył korytarzem w prawo, do trzecich z kolei drzwi.

- To tutaj.

Otworzył drzwi i odsunął się na bok, żeby puścić przodem Caro, ale cofając się, wpadł na nią i nastąpił jej na duży palec u nogi.

- Przepraszam! Nic ci się nie stało? - spytał Jake.

- Wszystko w porządku.

Jake odsunął się jeszcze bardziej na bok, i Caro, już bez żadnych przykrych niespodzianek, wkroczyła do środka.

Pokój był duży, z mansardą, w której mieściły się biurko, kominek i dwa fotele zarzucone ubraniami.

Caro nadal była skostniała, nie chciała jednak prosić Jake'a o rozpalenie w kominie. Przecież i tak sprawiała mu tyle kłopotu.

Oprócz kominka jej uwagę zwróciło piękne stare łóżko. Kiedy podeszła bliżej, by przyjrzeć się dokładniej zaśnieżonemu wezgiłowiu, przy okazji zerknęła na pościel. Poduszki, kołdra, prześcieradło leżały skłębione na samym środku wysłużonego już materaca.

Nagle usłyszała ciche chrząknięcie. Jake przypominał o swojej obecności. Szybko się odwróciła, czując się jak skończona idiotka. Nie wiadomo przecież, co sobie pomyślał, kiedy gapiła się na jego pościel.

- Śpisz bardzo niespokojnie - powiedziała, wskazując na skłębione pościel.

- Cóż, nie spodziewałem się gości. To znaczy jeszcze jednego.

- Ależ, Jake, nie musisz się tłumaczyć. Zwróciłam na to uwagę, bo moje łóżko rano wygląda identycznie. - Poczowała się głupio, chyba nawet się zaczerwieniła. Dlatego postanowiła dodać: - Jestem bardzo wdzięczna, że odstąpiłeś mi łóżko. A pokój jest naprawdę bardzo ładny.

- Caro, przecież to zwyczajna rupieciarnia! Oczywiście, kiedyś było inaczej. I znów będzie, kiedy tę rudę doprowadzę do porządku.

Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Najważniejsze, że Jake chyba wreszcie trochę się rozluźnił.

Przystąpił do udzielania praktycznych wskazówek: - W całym domu są tylko trzy łazienki, z których można korzystać. Jedna na dole, dwie z nich przylegają do tego pokoju. Przepraszam, że nie pojechałem po twoją torbę, ale w łazience znajdziesz podstawowe rzeczy. Mydło, szampon, pastę do zębów. Poszperaj w szufladzie, kto wie, czy nie znajdziesz tam nowej szczoteczki do zębów.

- Dziękuję, więcej niczego mi nie potrzeba. Poza tym... Wszystko lepsze niż spanie w śniegu!

- Wcale byś nie spała, Caro. Tylko zamarzła. Na śmierć.

Nie odpowiedziała, ponieważ dostrzegła coś bardzo interesującego w kącie jego lewego oka. Mała półkolista blizna, bardzo podobna do tej, którą miała na podbródku. Pamiątka po upadku z rowerka. Truman wielokrotnie próbował namówić żonę na wizytę u chirurga plastycznego.

Nie przekonał jej, z czego była bardzo zadowolona. Przecież Truman autentycznie ją szlifował. Bardzo dużo usunął z jej osobowości, ciało również ulegało przemianom. W rezultacie, gdy spoglądała w lustro, często zadawała sobie pytanie - czy to naprawdę ja?

Po odejściu od męża od razu przefarbowała włosy na jasny brąz, bardzo zbliżony do jej naturalnego koloru. Koniec z blondynką, której domagał się Truman.

- Przepraszam, nie powinienem tego mówić - odezwał się Jake, lekko rozdrażniony. No tak, przecież ona cały czas gapi się na jego bliznę!

- Jake, nie ma za co. Przecież wiem, że było groźnie! A patrzę na ciebie, bo uważałam bliznę. O, tutaj!

Odruchowo podniosła rękę i koniuszkiem palca delikatnie przesunęła po zdeformowanym kawałku skóry. Jake drgnął i błyskawicznie cofnął się o krok. Nie było to miłe. Zachował się tak, jakby go uderzyła.

- Ta blizna dodaje twojej twarzy charakteru.

- Jesteś bardzo uprzejma - burknął.

Było jasne, że jej nie wierzy.

- Ja mam bardzo podobną - dodała, podnosząc brodę wyżej. - O, tutaj. Widzisz?

Widział, ale żeby zobaczyć dokładniej, delikatnie objął dłonią jej twarz i skierował ku światłu. Dotknął jej, tak jak ona jego przed chwilą. Kiedy silne palce o zgrubiałej skórze dotknęły jej twarzy, poczuła się dziwnie.

Jake opuścił rękę.

- A skąd masz tę bliznę?

- Spadłam z rowerka, przy okazji uderzając brodą w kierownicę. Miałam wtedy sześć lat. A ty?

- Jedenaście. Dean i ja szaleliśmy na dworze. Spadłem z werandy, po drodze waląc głową o kamienną ozdóbkę.

- Można? - Bonnie, zanim weszła do pokoju, elegancko zapukała do otwartych drzwi. - Przyniosłam dla ciebie ubranie, Caro. Niestety, tylko szlafrok i ciepłe skarpety. Bardzo mi przykro, ale nie wzięłam z domu drugiej pizamy.

- Ależ Bonnie! To absolutnie wystarczy! Bardzo dziękuję!

- Jake, dlaczego nie rozpałiłeś w kominku? - spytała Bonnie.

Kochana Bonnie! Caro w tym momencie miała wielką ochotę ją wyściskać.

- No... może to zrobię - powiedział Jake.

- No to zrób. Dziewczyna szybciej się rozgrzeje!

- Fakt, trochę tu zimno. Ale całe ogrzewanie w zajeździe jest do wymiany. Zresztą nie tylko to.

- Dean opowiadał mi, jak tu było kiedyś. Podobno rewelacyjnie. Lataliście po pustych pokojach i bawiliście się w chowanego albo zjeżdżaliście po poręczy.

- Która też jest do wymiany. Teraz wystarczyłoby, żeby usiadł na niej Riley. Od razu rozleciałaby się na kawałki.

- Bo nasz Riley to duży chłopak! - stwierdziła z dumą mama Bonnie. - Doreen mówi, że Dean też taki był. W ogóle Riley wygląda jak prawdziwy McCabe. Tak samo zresztą Jillian. Takie są te moje dzieciaki!

Caro zauważyła, jak w twarzy Jake'a drgnął jakiś mięsień. W oczach pojawił się smutek.

Nie odzywał się. Na chwilę zapadła cisza, po czym Bonnie oznajmiła:

- To ja już lecę. Aha... Mama właśnie odgrzewa zupę, tę z chili, pikantną. Prosiła, żeby wam powiedzieć, że zaraz podaje.

Gorąca zupa... W pustym żołądku Caro zaburczało. Na śniadanie skubnęła tylko tosta, popiła herbatą, a potem przez wiele godzin nie miała nic w ustach. Nic dziwnego, że żołądek protestował. Dziwne, ale nie poczuła się tym skrepowana. Zaśmiała się, Bonnie ochoczo zawtórowała. Tylko Jake zachował powagę.

Teściowa bez wątpienia przypomniałaby jej teraz, że dobrze wychowana osoba, kiedy jej burczy w brzuchu, nie ryczy ze śmiechu, tylko robi się czerwona i wszystkich gorąco przeprasza.

- A wyście już jedli, Bonnie? - spytał Jake.

- Tak. Jakaś godzinę temu.

- No tak... Jillian mówiła, że bardzo się o mnie martwiliście.

Teraz uśmiech znikł i z twarzy Bonnie.

- Oczywiście! Dlatego zjadłam aż dwa talerze. Z tych nerwów! I powiem ci jedno, Jake! - oświadczyła, szturchając go w pierś. - Nigdy więcej takich numerów! Niezależnie od tego, co ci nagada Dean, jasne?!

Jake, ratując się przed następnym dźgnięciem, złapał ją za palec.

- Jasne. Następnym razem, jak mnie wkurzy, wywalę go za drzwi, prosto w śnieg. Zgoda?

- Zgoda. Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Poczekasz, aż przylecę z kamerą!

Bonnie, zaśmiewając się, wyszła z pokoju. A Caro, westchnąwszy w duchu, stwierdziła:

- Macie tu naprawdę sympatycznie.

Jake odwrócił się i spojrzał jej prosto w twarz.

- Przepraszam, jak?

- Sympatycznie. Ty i twoja rodzina. Widać, jak bardzo jesteście życzliwi.

- No... chyba tak.

Pokiwał głową, miał jednak taką minę, jakby wcale nie był zadowolony.

Czyli nie zdawał sobie sprawy, jaki z niego szczęściarz. Ma rodziców. Ona ze swoimi pożegnała się już na zawsze. Och Boże, jakże jej brakowało długich rozmów telefonicznych, słów otuchy, zachęty, nawet dobrych rad, które wtedy trochę ją drażniły. Uważała, że wtrącają się do jej życia. Idiotka! Rodzice zawsze chcieli dla niej jak najlepiej. Kochali ją. Po prostu. Teraz tak właśnie kocha ją tylko jeden człowiek na całym świecie. Cabot, jej synek. Nie może go stracić. O nie! Nie odda go Trumanowi, nie pozwoli, by wcisnął go w ciasny gorset sztywnych zasad rodziny Wendellów. Nigdy!

- Caro, idź pod prysznic.

- Co? Ach tak, pod prysznic. Obiecuję, że nie będę tam długo.

Kiedy zamykała drzwi łazienki, odezwał się ponownie.

- Caro!

Minę miał posępną, ale chyba nie był zły, raczej zaniepokojony.

- Zostaw dla mnie trochę ciepłej wody.

- Naturalnie.

Drzwi łazienki zamknęły się. Jake potarł twarz. Bardzo zaniepokojony tym, co zobaczył przed chwilą. Caro wydawała się zagubiona, kompletnie bezradna. Z trudem powstrzymał się od pytań. W końcu to nie jego sprawa. Nie jest już obrońcą uciśnionych. Skończył z tym. Bo i co z niego za obrońca, skoro nie był w stanie pomóc własnemu nienarodzonemu dziecku?

Słyszał, jak Caro odkręciła wodę. Kran protestował, piszcząc przeraźliwie.

Podszedł do szafy, wyjął dzinsy i gruby czarny sweter. Zdecydował, że prysznic może trochę poczekać.

Szybko przebrał się i zszedł na dół. Po kilku minutach, kiedy wracał na górę z naręczem polan i drewnem na rozpałkę, woda dalej leciała z prysznic. Słyszał też, że Caro coś nuciła.

Kiedy szum wody ucichł, drewno na rozpałkę już się zajęło i Jake dokładał pierwsze polano.

- Och!

Caro wyraźnie zaskoczona widokiem Jake'a McCabe'a klęczącego przed kominkiem, zatrzymała się w progu i szybko zasunęła poły szlafroka.

Wyglądała niesamowicie seksownie. Może dlatego, że zanim poprawiła szlafrok, Jake zdążył dostrzec różowy stanik i figi w tym samym kolorze, ozdobione koronkami.

Uff... Chłopie, weź się w garść, zbeształ się w duchu. Zdołał mruknąć:

- Rozpaliłem w kominku.

- Cudownie. Dziękuję.

Przeczesała palcami włosy. Ten gest wcale nie miał być uwodzicielski, ale mocno podziałał na Jake'a. Miał okazję obejrzeć dokładnie jej twarz bez śladu makijażu. Cera nieskazitelna, koloru kości słoniowej. Twarz, którą mężczyzna chciałby głaskać w nieskończoność...

Otrząsnął się, wstał. Trochę speszony myślami, nad którymi nie potrafił zapanować.

- Pójdę już - powiedział, kierując się ku drzwiom.

- Ale ja... ja, tak jak prosiłeś, zostawiłam ci trochę gorącej wody.

- Dzięki, ale postanowiłem, że najpierw coś zjem. Mój żołądek bardzo się niecierpliwi.

Po drodze zgarnął swoje wilgotne ubranie. W trakcie tej czynności nieopatrznie zerknął na Caro, która w tym momencie zagryzała dolną wargę. No i znów to cholerne libido. Od razu podpowiedziało, że miło by było zrobić to samemu. Zagryźć jej dolną wargę...

- Mogę wziąć twoje ubranie. Mamy tu pralnię...

- Ale te spodnie i sweter pierze się tylko na sucho.

- Matka będzie wiedziała, co z nimi zrobić.

- No tak... niewątpliwie - przyznała Caro, podając mu ubranie. - Proszę. I bardzo dziękuję. Zejdę na dół za chwilę, muszę jeszcze wysuszyć włosy.

Faktycznie pojawiła się w kuchni już po chwili. Jake siedział za stołem, zajadając zupę. Jego matka stała przy zlewie, zajęta zmywaniem. Na widok Caro uśmiechnęła się miło i szybko wytarła ręce w ściereczkę. A Jake pomyślał, że jego matka, która ma wiele

zalet, pod tym względem jest też niezawodna. Każdego, nawet najbardziej nieoczekiwanego gościa, potrafi przywitać tak, by poczuł się wyjątkowo.

- No i proszę, jesteś już czysta i wyglądasz bardzo ładnie - powiedziała. - Siadaj. Już przynoszę zupę.

Caro usiadła naprzeciwko Jake'a. Spojrzała na niego tylko przelotnie. Bardziej interesowało ją to, co za oknem.

- Co za pogoda - mruknęła, wpatrując się w olbrzymie wirujące białe płatki. - Aż nie chce się wierzyć, że mamy Wielkanoc!

Śnieg padał i padał. Gdyby Dean nie rozjuszył Jake'a do tego stopnia, że Jake wybiegł na dwór, by ochłonać, najprawdopodobniej nadal stałaby przy drodze i czekała na pomoc. Sama jak palec, przemarznięta do szpiku kości.

Jake był pewien, że myślała teraz właśnie o tym. Jeszcze chwila i zacznie mu dziękować wylewnie za to, że ją uratował. A on wcale nie pragnął dozgonnej wdzięczności.

- To przez ten cholerny wiatr z północnego wschodu - powiedział.

- Jake, nie wyrażaj się - skarciła go matka, stawiając talerz z gorącą zupą przed Caro. - Słuchałam prognozy pogody. Napada jeszcze kilka centymetrów, ale pod wieczór ma już zacząć topnieć.

- Jeszcze kilka centymetrów? Przecież napadało już chyba ze trzydzieści! - zdziwiła się Caro.

- Drogi będą przejezdne dopiero za kilka dni. I dobrze! - Doreen się uśmiechnęła. - W końcu zaplanowaliśmy długi weekend!

Caro na pewno nie, dlatego Jake szybko dodał:

- Nie martw się. Autostradę międzystanową odsnieżają w pierwszej kolejności.

Caro pokiwała głową i sięgnęła po łyżkę.

- Kiedy w końcu dotrę tam, dokąd chcę, śnieg może sobie padać i do czerwca.

Do kuchni wbiegły dzieci, wołając jedno przez drugie:

- Babciu, babciu, róbmy już te pisanki!

Doreen kazała im biec do matki. Jake w skupieniu przyglądał się Caro. Jak widać, bardzo zależy jej na dotarciu do celu. Gotowa jest to zrobić za wszelką cenę. Z powodu faceta? Instykt policjanta podpowiadał, że nie.

TLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nadszedł wieczór. Caro była zaskoczona, że dzień minął tak szybko. Teraz wszyscy zebrali się w salonie. Kobiety siedziały na kanapie, mężczyźni przy stoliku pod przeciwległą ścianą. Grali w szachy. Caro miała jakieś takie pojęcie o grze, wiedziała, że niezbędne są odpowiednie umiejętności i maksymalna koncentracja.

Tylko czy Jake faktycznie skupiony jest wyłącznie na szachach? Za każdym razem, gdy zerknęła w tamtą stronę, napotykała jego wzrok. Za każdym razem niebieskie oczy spoglądały na nią pytająco.

Ten mężczyzna działał na nią bardzo mocno. Przy nim czuła się całkowicie bezbronna. Obnażona.

Po zjedzeniu zupy zamierzała wrócić na górę, ale zrezygnowała. Bo i po co? Miała tam siedzieć sama i drżeć z niepokoju, wpatrując się w padający śnieg? Nie, lepiej być wśród ludzi. Dlatego została na dole, a rodzina Jake'a dała jej odczuć, że są zadowoleni z jej obecności.

W ich towarzystwie czuła się miło, swobodnie. Całkiem inaczej niż w towarzystwie Trumana czy jego matki. Susan czepiała jej się bez przerwy. Truman też był bardzo krytyczny. Twierdził, że to dla jej dobra. Chciał pomóc jej przystosować się do nowego środowiska.

Jesteś diamentem, Caroline, ale nieoszlifowanym. Dzięki odpowiedniemu ubraniu i ogładzie przyćmisz wszystkich...

Na początku było jej nawet miło, że nazwał ją diamentem. Bardzo szybko jednak to szlifowanie zaczęło ją frustrować, potem po prostu złościć. I wcale nie była tak uległa, jak spodziewał się Truman.

Gdy się opierała, wybuchały kłótnie. Mogła odejść od niego, ale była wystarczająco staroświecka, żeby uszanować małżeńską przysięgę. Chciała jej dotrzymać, dojść z mężem do porozumienia. Tym bardziej gdy okazało się, że jest w ciąży.

Na świat przyszedł Cabot. Pojawienie się dziecka zawsze jest rewolucją, a jednak mimo tego zamętu wydawało się, że wszystko się ułoży. W ich małżeństwie nigdy nie

było wielkiej, gorącej miłości, ale przynajmniej się nie kłócili. Poza tym Truman we wszystkich sprawach dotyczących dziecka szanował decyzje Caro i ufał jej rozsądkowi.

Dopóki w pobliżu nie było jego matki, Susan. Jej wizyty, niestety, z biegiem czasu stały się coraz częstsze i tuż po pierwszych urodzinach Cabota wprowadziła się do nich na stałe. Truman był zachwycony, Caro nie. Ale nikt nie pytał jej o zgodę, nawet nie uprzedził. Została postawiona przed faktem dokonanym.

Kiedy tylko Susan Wendell ulokowała się w skrzydle dla gości, mała prywatna wyspa szczęśliwości Caro zaczęła ulegać erozji.

Matka Trumana coraz bardziej wchodziła w rolę nie tylko matki Cabota, lecz także pani domu. Jadłospis na dany dzień, spotkania towarzyskie, pora szykowania Cabota do snu, nawet nowe meble do salonu - wszystko musiało być zatwierdzone przez Susan. I za każdym razem kiedy Caro, będąc sam na sam z Trumanem, wyraziła niezadowolenie, słyszała to samo.

Ona chce ci po prostu pomóc.

Zacisnęła zęby i starała się jakoś z tym żyć. Nie wywoływać wojny, przede wszystkim ze względu na synka. Ale pewnego dnia poczuła, że dłużej nie wytrzyma.

Ostatnią kroplą goryczy nie było żadne dramatyczne wydarzenie. Nie. Wybrała się wtedy z synkiem do parku. W piaskownicy było pełno dzieci. Poznały się przed chwilą, a już stanowiły grupkę najlepszych przyjaciół. Tylko Cabot nie umiał się zintegrować. Bardzo speszony, trzymał się na uboczu. Różnił się od nich także wyglądem. Ubrany według zaleceń Susan, czyli żadnych džinsów ani bluz. Miał na sobie krótkie beżowe spodenki i niebieską koszulę z kołnierzykiem.

Trzyletni chłopczyk miał więcej krochmalonych koszul, krawatów i blezerów niż większość dorosłych mężczyzn. Zminiaturyzowana kopia ojca.

Dla Caro był do sygnal, że wreszcie trzeba się obudzić.

Nie chciała wychować drugiego Trumana Wendella. Nie chciała mieć syna usidłego przez konwenanse i zasady. Nie chciała mieć syna, który będzie przedkładał perfekcję nad własne zadowolenie. Który będzie manipulował innymi.

Chciała, żeby Cabot był normalnym chłopczykiem, żeby śmiał się jak najczęściej, nawet hałaśliwie. Tak jak Riley i Jillian, którzy siedzieli na kolanach u dziadka.

Przed kilkoma godzinami farbowali jajka. Caro została zaproszona do współpracy, no i ma za swoje! Spojrzała na ręce. Palce wyglądały bardzo interesująco, ale to drobiazg, skoro miała z tego tyle przyjemności.

- Z czasem zejdzie - powiedziała Bonnie. - Chyba wiesz.

- Wiem, wiem.

- Z tej farbki trzeba było wyjmować jajka łyżką. No tak...

Bonnie spojrzała na swoje palce, również we wszystkich kolorach tęczy, i obie wybuchnęły śmiechem.

Caro tak się cieszyła na te święta z Cabotem. Miała obudzić synka wczesnym rankiem, razem z nim poszukać koszyczka ze słodyczami, potem mieli iść do kościoła...

Takie były plany, z których nic nie wyszło. Cabot obudzi się w wielkim domu nad jeziorem Champlain i znajdzie kosz o wielkości małego samochodu. W tym koszu będzie więcej słodyczy i zabawek, niż większość dzieci dostaje i na urodziny, i na Gwiazdkę. Potem ubiorą go w garniturek, koszulę w pastelowym kolorze i krawat w paski i zawiozą do kościoła.

Przemaszeruje przez środek i usiądzie w ławce, w której nikt nie ośmielał się usiąść nawet wtedy, kiedy Wendellów akurat nie było w mieście.

Susan usiądzie obok i kiedy chłopczyk zacznie się wiercić, dyskretnie postuka palcem w jego głowę.

Caro poderwała głowę i po raz kolejny napotkała spojrzenie niebieskich oczu.

Jake, nie odrywając od niej oczu, ogłosił:

- Mat!

Odsunął się z krzesłem i mimo protestów Deana odszedł od stołu.

- Posmutniałaś... - stwierdziła Doreen, popatrując na nią znad kubka z kawą. - Czy coś nie tak?

- Ależ skąd! Po prostu się zamyśliłam. Przepraszam.

- Naprawdę nie ma za co. Ale chyba ci niewesoło, prawda? Tęsknisz za najbliższymi?

Caro szybko zamrugła oczami, powstrzymując łzy. Czowała, że się rozkleja. W sumie nic dziwnego, tego dnia przecież przeżyła niemało. A przedłużającą się rozłąką z synkiem była wręcz załamana.

Tęskniła. Rozpaczliwie. Za rodzicami, którzy zginęli, i za najukochańszym synkiem, jedyną bliską jej osobą na całym świecie.

Jego nie może stracić. Tego by nie przeżyła.

- Wybacz, Caro - powiedziała miękko Doreen, kładąc dłoń na jej ramieniu. - Rozzaliłaś się? Niepotrzebnie cię wypytuję. Przecież to oczywiste, że tęsknisz za rodziną. Kiedy człowiek nie może spędzić świąt z najbliższymi, zawsze mu ciężko.

- Dlatego my przyjechaliśmy tutaj - wtrąciła Bonnie. - Żeby być razem z Jake'em.

- Zgadza się - potwierdził Dean, podchodząc do kanapy. - Mojemu bratu na pewno by się nie chciało stąd ruszać, więc my wybraliśmy się do Vermontu.

- Nie masz racji, Dean - zaprotestowała matka. - Nie chodzi o to, czy chciałby, czy nie. On po prostu nie mógł.

- Nie może, bo musi być tutaj, w zajeździe? - spytała zaintrygowana Caro.

- Między innymi - odparła Doreen. - Poza tym Jake ostatnio miał bardzo złe przeżycia.

- Przeżycia! - zachnął się Dean. - Zamiast walczyć, poddał się! Po prostu wszystko spieprzył!

- Dean, nie wyrażaj się!

- Przepraszam. Ale nazwijmy rzeczy po imieniu, dobrze? Departament zrobił go w konia. A do tego Miranda... To, co ona zrobiła, to już szczyt wszystkiego.

Dean, potrząsając głową, odszedł od kanapy.

- Przepraszam za mojego męża - powiedziała Bonnie, kiedy mąż był już w bezpiecznej odległości. - Dean nie potrafi utrzymać języka za zębami, dlatego zresztą Jake uciekł z domu w tę zamieć. Nie minęła doba od naszego przyjazdu, a już się pożarli.

- Dean ma to po ojcu - oświadczyła matka. - On też, wbrew pozorom, jest bardzo zapalczywy.

Caro umierała już z ciekawości. Z tej krótkiej wymiany zdań wynikało, że Jake, mówiąc ogólnie, coś zepsuł. Ale co? O co dokładnie pozarli się z Deanem? Kto to jest Miranda? I co takiego strasznego zrobiła?!

Oczywiście o bolesne sprawy nie mogła zapytać wprost. Zaczęła więc ostrożnie.

- Od jak dawna Jake jest właścicielem tego zajazdu?

- Jakies pół roku - odparła Doreen.

- A czy Jake marzył o tym, żeby mieć zajazd?

- On?! A skąd! - Doreen zaśmiała się, wyraźnie rozbawiona tym pytaniem. - Byliśmy bardzo zaskoczeni, kiedy dowiedzieliśmy się, że kupił tę rudę. Chociaż kiedyś było tu zupełnie inaczej.

- I będzie jak dawniej! Przekonasz się! - wtrąciła żarliwie Bonnie. - Jake potrafi o to zadbać. Poza tym dobrze, że ma jakieś plany, coś konkretnego do zrobienia. Dzięki temu nie ma czasu na rozmyślanie.

- Caro? Wybacz ciekawość, ale czy możesz nam powiedzieć, czym ty się zajmujesz? - Było jasne, że Doreen przede wszystkim zależy na zmianie tematu.

- Jestem doradcą szkolnym.

To znaczy, była. W jednej z renomowanych szkół podstawowych w Vermontcie. Z pracą nie było wtedy łatwo. Zarabiała jedną czwartą tego, co w poprzednim miejscu pracy, ale nie narzekała. Miała zajęcie, jakieś tam pieniądze. A praca z dziećmi zawsze daje satysfakcję.

- A skąd jesteś? Z tych okolic?

- Jestem tu tylko przejazdem. Mieszkam w niewielkim mieście na południe od Montpelier.

- Czy tam też mieszka twoja rodzina? Rodzice? - spytała Bonnie.

- Nie - odparła po krótkiej chwili Caro. - Mieszkali w Karolinie Północnej. Oni... nie żyją. Zginęli w wypadku samochodowym, pięć lat temu. Wiosną...

- O Boże! Bardzo ci współczuję! - Bonnie przysunęła się do Caro i objęła ją ramieniem.

- Biedactwo! - Doreen błyskawicznie znalazła się tuż obok Caro, z drugiej strony, i wzięła ją za rękę.

Były takie kochane. Caro resztką sił powstrzymywała łzy.

- Dziękuję wam, ale teraz... przepraszam, chyba pójdę już na górę. Jestem bardzo zmęczona. - Odstawiła pusty kubek i wstała.

- Idź, idź, kochanie - powiedziała Doreen, uśmiechając się do niej ciepło. - Połóż się już. Masz prawo padać z nóg.

- Zobaczymy się jutro - dodała Bonnie. - Mam nadzieję, że dzieci rano nie obudzą wszystkich. Rozumiesz, będą szukały koszyczków od zajaczka.

Jak Cabot... Caro czuła, że serce zaraz jej pęknie, dlatego szybko wymamrotała jeszcze raz przeprosiny i prawie biegiem opuściła salon. Tuż za progiem jednak się zatrzymała. Wszystkie lampy zamrugały dziwnie. Dwa razy, i cały zajazd pogrążył się w ciemności.

Słyszała pisk wystraszonych dzieci i spokojne głosy dorosłych.

- Ejże, kochani, no pomyślcie! Czyż to nie jest nowa, wspaniała przygoda?! - mówiła Bonnie.

Po policzku Caro spłynęła łza. Dokładnie to samo powiedziała Cabotowi, kiedy pięć miesięcy temu opuszczała razem z nim posiadłość Wendellów, zamieniając w ten sposób życie w luksusie na o wiele skromniejsze.

Nie wróciła do salonu, choć w tej sytuacji byłoby to jedyne rozsądne posunięcie. Konsekwentnie parła do schodów, po drodze uderzając łokciem w biurko recepcjonistki. Kiedy wchodziła już na górę, usłyszała, że schody skrzypią nie tylko pod jej stopami.

- Halo! Jest tu ktoś? - zawołała, wlepiając oczy w egipskie ciemności.

Dokładnie w tym samym momencie czyjaś stopa nadepnęła na jej stopę. Gdyby nie para silnych rąk, które złapały ją natychmiast, poleciałaby w dół.

- Caro?

To był Jake.

- Tak, to ja. Szłam właśnie na górę - wyjaśniła, jakby nie było to oczywiste.

- Prąd wysiadł - powiedział Jake.

Jakby ona tego nie zauważyła.

- Z powodu tej zamieci?

- Niestety. Powinniśmy zejść na dół.

- Nie! - krzyknęła, prawie histerycznie. - Idę na górę. Chcę się już położyć.

- Dobrze się czujesz?

Wyraźnie wzmocnił uścisk. Minę na pewno miał teraz bardzo posępną.

- Oczywiście. Jestem tylko zmęczona.

- Dopiero ósma.

- Tak. Ale ja dziś wstałam o świcie, poza tym mam za sobą dzień... pełen wrażeń - odparła.

- Pełen wrażeń... - sarknął. - No dobrze... W takim razie odprowadzę cię do pokoju.

- Dziękuję, nie ma takiej potrzeby. Trafię sama.

Nagle na szczycie schodów trochę pojaśniało. Snop światła przemknął po ścianie, skierował się w ich stronę i po minucie ich odnalazł. To Dean, który zdał raport:

- W szafie w naszym pokoju znalazłem kilka latarek i świeczki.

- Świetnie - powiedział Jake. - Caro postanowiła iść już na górę. A ja pilnuję, żeby nie wpadła na ścianę.

Brat, jak to brat, od razu mu dociął.

- No proszę. Jaki troskliwy! Ciekawe, czy o mnie też byś tak się zatroszczył!

- Oczywiście, że nie. Przydałoby ci się walnąć głową o ścianę, może wreszcie nabrałbyś trochę rozumu.

Dean wcale się nie obraził.

- Niech ci będzie - powiedział, nawet się zaśmiał i wręczył bratu latarkę. - Dla ciebie.

- Dzięki. Za chwilę wracam na dół.

- Super. A powiedz, jak z ogrzewaniem? Nie wysiadzie?

- Miejmy nadzieję, że nie. A jeśli nawet, to jest spory zapas drewna do komina. Nie zamarzniemy.

Caro słuchała tego z prawdziwą przyjemnością. Jake był świetnym facetem. Prawdziwy mężczyzna. Wie, co mówi, potrafi dodać otuchy.

Niestety, była to tylko chwilowa poprawa nastroju. Kiedy wchodziła do pokoju, znów była na dnie. Bo spójrzmy prawdzie w oczy. Szalejąca zamieć i brak prądu to nic w porównaniu z tym jednym, podstawowym problemem.

- Potrzyj - powiedział Jake, wręczając jej latarkę.

Obszedł łóżko i przykląkł przed kominkiem. Dołożył kilka dREW i zaczął dmuchać. Po kilku sekundach kominek znów ożył.

- Trochę głupio mi, że sama korzystam z tego kominka i jednej z nielicznych, jak mówiłeś, łazienek - powiedziała Caro.

- Nie miej żadnych wyrzutów sumienia. Przecież to tylko jedna noc, góra dwie. Caro! Płakałaś?

- Och, to spóźniona reakcja po porannej przygodzie!

- Masz jakieś kłopoty?

- Kłopoty?!

- Sprawiasz wrażenie osoby bardzo zdesperowanej.

Zdesperowana! To słowo przerwało resztki zasieków, jakie wzniosła wokół siebie. Załamała się.

- Ja mam...

- Wiem. Ważne spotkanie. Termin ostateczny - przerwał, wyraźnie zniecierpliwiony.

- Mam synka.

- Synka? Ile ma lat?

- Trzy. A jutro jest Wielkanoc.

Łzy, które powstrzymywała z takim samozaparciem, jednak popłynęły. Strumienie łez. Szlochała, kryjąc twarz w dłoniach. Trudno. Była wykończona, zrozpaczona, miała gdzieś opanowanie, trzymanie fasonu i tego rodzaju klimaty.

Jake w pierwszej chwili chciał zadać kilka pytań, które błyskawicznie pojawiły się w jego głowie. Wiadomo, policjant zawsze szuka odpowiedzi na pytania, szuka dowodów. Ale ta kobieta nie była przecież sprawą, którą prowadził, nawet jej nie znał.

Jednak widział przecież, co się z nią dzieje. Zrobił to, co podpowiedział instynkt. Objął ją. Ich ciała się zetknęły. Wyczuł, że Caro zeszywniała. On zresztą też. Z tym że on niewątpliwie z innego powodu. Z emocji, ponieważ odkrył, że trzymanie tej kobiety w ramionach wyjątkowo mu się podoba. Pasowało mu, kiedy pod ramieniem miał jej szczupłe plecy, kiedy policzkiem dotykał miękkich, jedwabistych włosów.

- Nie martw się, Caro. Będzie dobrze. Śnieg pada już o wiele mniej, wiatr też coraz słabszy. Jutro na pewno się uspokoi i zaczną robić porządek z drogami.

- Ale wiadomo już, że na Wielkanoc nie zdążę...

- Powiedziałaś, że ma trzy lata. Wiadomo, że dzieci w tym wieku są bardzo elastyczne. Zróbcie sobie Wielkanoc później, mały będzie się tylko cieszył.

- No tak... A ty masz dzieci?

Na sekundę zeszywniał, potem odruchowo cofnął się o krok. Bo pamięć raptem podsunęła jeden z pierwszych zapisków w jego dzienniku.

„Kim miałeś być? Chłopcem czy dziewczynką? Jeśli chłopcem, byłoby wspaniale. Nauczyłbym cię stolarki, tak jak twój dziadek nauczył mnie. Aha, poza tym zakładam, że charakter wziąłeś po mnie. Absolutnie nic z Deana.

A jeśli dziewczynką? Nie, nie mam nic przeciwko dziewczynkom. Byłbym też bardzo szczęśliwy”.

Dziennik, zgodnie z zaleceniem psychologa, prowadził, by wyładować gniew i żal po tej historii w pracy. Ale on i tak pisał tylko o dziecku, którego Miranda nie chciała urodzić. Pisał o rozpacz, bólu, potem coraz więcej o tym, jak by to mogło być...

- Nie, nie mam dzieci.

- Naprawdę?!

Chyba trudno jej było w to uwierzyć. No tak, przecież przed chwilą udzielał jej dobrych rad.

- Spędzam dużo czasu z Rileyem i Jillian.

- Bardzo sympatyczne dzieci.

- Tak. Moim zdaniem bardzo udane... - powiedział, choć myślami nadal był gdzie indziej. Ze swoim dzieckiem.

- Jake?

Przełknął. I szybko spytał:

- A gdzie jest teraz twój synek?

- W Burlington, razem z ojcem i babcią, to znaczy moją teściową. Pojechał tam po raz pierwszy po kilku miesiącach. Miał być kilka dni, a zrobił się z tego cały tydzień. Nawet dłużej.

Aha. Czyli najprawdopodobniej walka z byłym mężem o prawo do opieki nad dzieckiem.

- Rozmawiałaś z nim wtedy przez telefon?

- Tak. Był wystraszony. Bardzo za mną tęskni.

- Powiedziałaś, że miał być u ojca tylko kilka dni.

- Tak ustaliliśmy. Cabot miał spędzić jeden weekend z ojcem i babcią nad jeziorem Champlain. Potem miał być ze mną.

- Ale warunki umowy nagle uległy zmianie, czy tak?

Caro przymknęła oczy. Spod powiek znów popłynęły łzy.

- Niestety. Powinna była to przewidzieć. Truman zawsze potrafi postawić na swoim. Zeszłej soboty miałam odebrać synka, ale Truman nie przyjechał z nim tam, gdzie się umówiliśmy. Zadzwoiłam i wtedy dowiedziałam się o tej zmianie w planach.

- Ale na pewno niebawem go zobaczysz, Caro. Może nawet już jutro wieczorem. A najpóźniej pojutrze.

- Nie wierzę. Przecież drogi będą nieprzejezdne przez wiele dni. Poza tym nie wiadomo, kiedy mój samochód zostanie naprawiony.

- Wszystko będzie dobrze. W razie konieczności sam cię zawiozę do synka.

Jake nie rzucał słów na wiatr. Dlatego stosunkowo rzadko coś komuś przyrzekał. Dopiero wtedy, kiedy miał pewność, że będzie w stanie dotrzymać obietnicy.

- Ty? Ale dlaczego?

- Ponieważ chodzi o dziecko. A każde dziecko potrzebuje... potrzebuje...

Nie, nie był w stanie dokończyć. To dziecko, synek Caro, potrzebuje tego, co dziecku Jake'a zostało odebrane. Potrzebuje matki i jej miłości.

A tak w ogóle to sam w końcu nie wiedział, dlaczego wyskoczył z tą propozycją.

Caro cofnęła się o pół kroku i wlepiła w niego oczy. W blasku ognia ślady łez na policzkach były doskonale widoczne. Otarł je, tak jak potrafił, cały czas patrząc Caro prosto w oczy. A potem na moment przyłożył ciepłą dłoń do jej policzka.

Wtedy usłyszał:

- Jesteś bardzo dobrym człowiekiem, Jake.

Te słowa były jak balsam na ranę, która nadal się jątrzyła. Słowa wypowiedziane przez kobietę, która tak bardzo na niego działała. Była piękna, a on od dawna żył w celibacie. Czyli chemia... Oj, nie. Nie tylko. Tęsknota, pragnienie... Nie umiał tego nazwać.

Schylił głowę. Oczywiście, że pragnął czegoś więcej niż tylko pocałunku. Ale był też świadomy, że już pocałunek byłby głupotą, a co dopiero „coś więcej”. Lepiej więc odmówić sobie wszystkiego.

Wargi Jake'a musnęły czoło Caro.

Nie sprawiała wrażenia zawiedzionej czy urażonej. Po prostu się uśmiechnęła.

- Jake, będziesz kiedyś wspaniałym ojcem.

Jakby wpakowała mu kulę prosto w serce. Błyskawicznie się cofnęła.

- Jake?

Nie odpowiedział. Nie był w stanie nawet na nią spojrzeć. Szybko odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Jeszcze przez długi czas po wyjściu Jake'a Caro nie ruszała się z miejsca. Stała nieruchomo, obejmując się ramionami i czekając, aż krew przestanie pulsować w skroniach. Drżała. Nie z zimna, przecież w pokoju było już ciepło. Ogień trząsał w kominie, a ona była rozdygotana.

Z Jake'em też coś było nie tak, skoro tak nagle wyszedł z tego pokoju. Właściwie uciekł...

Powiedziała Jake'owi, że jest dobrym człowiekiem. Mówiła to szczerze. Bo taki właśnie był. Pod ponurą powłoką, niewątpliwie porządnie poobijaną przez życie, kryje się naprawdę dobry człowiek. Ale niestety nawet dobrzy ludzie mogą stanowić problem. Z kolei zły mężczyzna w sprzyjających okolicznościach może wydać się aniołem.

Zły człowiek. Truman. Wystarczy przypomnieć sobie ich ostatnią rozmowę przez telefon.

Od czego zaczął? Od stwierdzenia:

- Ty i ja stanowimy jedność, Caroline. Potrzebujesz mnie.

- Nie potrzebuję nikogo!

- Potrzebujesz. Jesteś zbyt delikatna, żeby być sama. Żeby sama wychowywać naszego syna.

- Chwileczkę! A o co ci dokładnie chodzi?

Była przerażona. Sądziła przecież, że jest już poza zasięgiem jego manipulacji. Że jest na dobrej drodze do zbudowania nowego życia, gdzie będzie zawsze miło, serdecznie, szczerze. W takiej właśnie atmosferze powinien rosnać jej synek.

- Nie życzę sobie, żeby mojego syna wychowywała smutna, znerwicowana, samotna matka. Dlatego masz wrócić tutaj, jeszcze przed świętami. Nikt oprócz mojej matki nie wie, że jesteśmy w separacji.

- A jeśli... jeśli nie wrócę?

- Wtedy będę zmuszony wystąpić o przyznanie mi prawa do całkowitej opieki nad naszym synem. Nie dopuszczę, żeby naszego syna wychowywał ktoś o tak rozchwianej psychice jak twoja.

- Co?! O czym ty w ogóle mówisz?

- Matka zgadza się ze mną całkowicie. Powiedziała, że powinienem też wystąpić o to, byś miała prawo widywać Cabota tylko w obecności ludzi z opieki społecznej. Przedtem, oczywiście, trzeba te sprawy uregulować w sądzie rodzinnym. Chyba że, jak powiedziałem, zdecydujesz się wrócić.

Postawił jej ultimatum. A ona nie ma żadnych szans. Wendellowie są bardzo ustunkowani i nieskończenie bogaci. Ona nie. Nie ma takich znajomości ani takich pieniędzy.

Miała wrócić na święta. Z powodu zamieci Truman zgodził się poczekać jeszcze tydzień. Ani dnia dłużej.

- Wcale mi się nie podoba, Caroline, że będę musiał wstąpić na drogę prawną. Ale nie mam innego wyjścia. Moi prawnicy przygotowują już odpowiednie dokumenty. Powtarzam, jeśli nie wrócisz tu najdalej za tydzień, sprawa trafi do sądu. Robię to dla twojego dobra i dla dobra naszego syna.

- Oczywiście, że przyjadę! Przecież robię wszystko, co w mojej mocy!

- Wierzę, że tak jest. I mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy. Zrobisz to, co trzeba.

To, co trzeba. Och Boże, w jej życiu nic nie jest jak trzeba! Bo właśnie teraz, w najbardziej nieodpowiednim momencie, pewien mężczyzna o imieniu Jake wyraźnie przestaje być jej obojętny!

Zawiązała mocno pasek pożyczanego szlafroka i położyła się do łóżka. Kołdrę podciągnęła aż pod brodę, próbując nie myśleć o Jake u.

Po trzech godzinach ogień w kominku zgasł, a Caro nadal leżała z szeroko otwartymi oczami, nie czując ani odrobiny senności.

TLR

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jake, skradając się po schodach, był pewien, że Caro dawno już zmorzył sen. Dlatego bardzo starannie omijał stopnie, które skrzypiały najgłośniejszy. Musiał wziąć z szafy spodnie, z łazienki szczoteczkę do zębów.

Reszta klanu McCabe'ów udała się na spoczynek godzinę temu. Przedtem Bonnie i Dean schowali koszyczki wielkanocne dla dzieci. Latali z latarkami po salonie, szukając najlepszych miejsc, i zaśmiewali się przy tym jak para dzieciaków.

Jake patrzył na przemykające światełka, słuchał ich szeptów i śmiechu. Nigdy dotąd niczego bratu nie zazdrościł. Teraz tak. Kochającej żony, dzieci, które Dean uwielbiał, a one kochały go nieprzytomnie. Dean po prostu był szczęściarzem.

Jake nigdy nie łudził się, że jemu również się powiedzie w życiu prywatnym. Praca w policji nie sprzyjała związkom. Wszystko grało, dopóki nie poznał Mirandy. Sprawiała, że uwierzył w szczęśliwy finał. Był pewien, że stworzą rodzinę podobną do takiej, w jakiej się urodził. Ale niestety...

Kiedy mijał pokój rodziców, usłyszał głośne chrapanie ojca. Jake nie tylko kochał, lecz także bardzo szanował rodziców. Dobrzy ludzie, naprawdę dużego formatu, związani ze społecznością, do której należeli. Swego syna bronili zaciekle i bezwarunkowo. Jake przeżywał męki, kiedy widział w telewizji, jak dziennikarze przepuszczają ich przez medialną wyżymaczkę.

Ostatnią kroplą goryczy był wywiad, jakiego udzieliła dla jednej z lokalnych stacji jego była żona. Miranda wspomniała wówczas o mrocznej stronie osobowości byłego małżonka, który po ciężkim dniu w pracy zamykał się w warsztacie stolarskim, oddając się tam jakimś podejrzanym rytuałom.

- Tak naprawdę to nigdy go do końca nie poznałam - zakończyła wypowiedź, dyskretnie ocierając chusteczką oczy.

Może miała rację. A jeśli o niego chodzi, to na pewno jej dobrze nie poznał. Nie wiedział, na co ją stać. Na sprzedanie wymyślonej, brudnej historii mediom. Na romans, kiedy była mężatką. Na pozbycie się dziecka Jake'a.

Następnego dnia po tym nieszczęsnym wywiadzie ekipa z tej właśnie stacji telewizyjnej czatowała przed szkołą tańca, do której uczęszczała Jillian. Kiedy Bonnie razem z Jillian wyszła z budynku, jakiś dupek od razu dopadł do dziewczynki.

- Powiedz, czy boisz się wujka? Zawsze się go bałaś? - wykrzykiwał do wystraszonego dziecka.

- Mamo, co ten pan mówi? Mamo, dlaczego on tak mówi o wujku?

Nigdy nie zapomni przerażonej twarzy Jillian. Był zdruzgotany, podjął decyzję o wyjeździe z miasta, licząc, że dzięki temu sprawa przyschnie i nikt już nie będzie dręczyć jego najbliższych...

Koniec wędrówki. Wreszcie dotarł do drzwi, które Caro na szczęście zostawiła uchylone. Ostrożnie je otworzył i znieruchomiał. Po cichu wślizgnął się do środka. Caro siedziała na łóżku, pochylona do przodu.

Koszmar powrócił. Tamta kobieta była też tak pochylona. Nad dzieckiem. Krzyczała przeraźliwie, dziecko też. Potem padły strzały. Odbiły się szerokim echem i nagle zapadła cisza, przzerwana krzykiem młodego policjanta:

- Boże, Boże, Boże! Co ja zrobiłem?!

- Jake?

Cichy głos Caro przywrócił go do rzeczywistości. Otarł ręką twarz.

- Prze... przepraszam - wymamrotał. - To tylko ja. Przyszedłem po szczoteczkę do zębów.

W łazience przede wszystkim ochlapał twarz zimną wodą. Wytarł się i na moment znieruchomiał, oparty rękoma o porcelanową umywalkę. Zadowolony, że jest zbyt ciemno, by dojrzał w lustrze swoją twarz.

Do cholery! Czy nigdy nie uda mu się uciec od przeszłości?

Doskonale wiedział, co teraz usłyszałby od psychologa. Przeszłość prześladowuje go, bo sprawa nie została rozwiązana.

Pomogło. Niestety, tylko na jakiś czas, bo koszmar powrócił.

Kiedy wyszedł z łazienki, Caro siedziała na brzegu łóżka, przytrzymując poły szlafroka. Nie wyglądała na przerażoną, raczej zaniepokojoną.

Spojrzał na kominek.

- O, widzę, że dołożyłaś do ognia. Bardzo dobrze. Ale więcej już nie trzeba. Wystarczy do rana.

- Dobrze. Cudowna rzecz taki kominek! Ja na co dzień rozpalam tylko w kuchence gazowej.

- Z kuchenką jest prościej.

- Ale kuchenka nie ma w sobie nic romantycznego - stwierdziła. - Kiedy wpatruję się w ogień, przypominają mi się dawne czasy. Na przykład cudowne obozy skautowskie.

- Byłaś skautką? Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, jak rozstawiasz namiot.

- Uwielbiałam przygody. Tata żartował, że nie ma córki, tylko syna. Nazywał mnie Carl. A mamę doprowadzałam do rozpaczki.

- Kiedyś jednak to się zmieniło, prawda?

- Tak. Kiedy dotarło do mnie, że istnieje płeć przeciwna. Wtedy postanowiłam z powrotem być dziewczynką.

- Całe szczęście - mruknął Jake. - Pójdę już. Przepraszam, nie chciałem cię budzić.

- Nie spałam.

- Nie możesz zasnąć?

- Nie, choć byłam wykończona. Dziwne, prawda?

Zaśmiała się. Trochę sztucznie, ale Jake już wiedział, że Caro nie ma powodów do radości. Rozmyślała o synku.

Ciekawe, jaki jest ten chłopczyk. Ciekawe, na czym dokładnie polega problem z jego ojcem...

- Gdybyś była głodna, zostało jeszcze trochę zupy.

- Dziękuję, ale jeszcze jeden talerz zupy Doreen i na pewno nie zasnę do rana. Mam nadzieję, że się nie obraziłaś?

- Uprzedzałem, że ostra!

- Tak, byłam przygotowana. Leciutka zgaga to nic, naprawdę warto było spróbować.

Uśmiechnęła się i Jake mimo woli spojrział na jej usta. Bardzo ładne, pełne, pięknie wykrojone...

- Matka dostała właśnie za tę zupę główną nagrodę w Niagara Square.
- No proszę! A moja mama nie umiała gotować. W kuchni rządził tata. Owszem, sprawdzał się jako kucharz, choć niektórych jego wynalazków nie jadł nawet nasz pies.

- Matka mówiła mi, że twoi rodzice zginęli w wypadku samochodowym.

- Tak.

- Bardzo ci współczuję.

- Dziękuję. To było... pięć lat temu.

- Upływ czasu nie ma tu żadnego znaczenia...

- Nie. Nadal bardzo boli. Wiesz, oni wtedy jechali do mnie...

Do swojego dziecka. Tak jak ona teraz. Wpadła w poślizg, samochód utknął w zaspię. Jake zrozumiał, że dla niej to przeżycie musiało być wyjątkowo przerażające.

Zerwała się z łóżka i oświadczyła:

- Wiesz co? Chętnie napiłabym się herbaty. O ile macie tu coś takiego.

- Oczywiście, chociaż ja jej prawie nie pijam.

- Niemożliwe! Byłam pewna, że jesteś entuzjastką zielonej herbaty!

- Nigdy w życiu. Lubię kawę. Czarną, mocną. Co ty na to?

- Skusiłabym się. Ale nie w środku nocy.

- Masz rację. W takim razie może... kakao? Bonnie przywiozła dla dzieciaków.

- Czemu nie? A do środka wrzucimy minipianki.

- Zawsze tak robisz?

- Jasne! - przyznała z uśmiechem. - Czy można robić coś innego?

- Owszem. Na przykład wlać trochę likieru miętowego.

- Ejże... Nigdy czegoś takiego nie robiłam, ale brzmi naprawdę zachęcająco. Poza tym byłoby to rzeczywiście kakao dla dorosłych.

- Zrobisz, jak zechcesz.

- Dzięki. Bo ostatnio z czymś takim spotykam się bardzo często.

Odszukali latarkę i zeszli na dół, do kuchni. A tam Jake, ku zaskoczeniu Caro, wcale nie sięgnął po czajnik, tylko po garnek. Nalał wody i postawił na kuchence. Zapalił gaz, potem wyjął dwa duże fajansowe kubki, z drugiej szafki butelkę likieru. Zaczął szperać w torbach z wiktuałami porozstawianymi na kuchennym blacie.

- Caro, poświęć tutaj.

Podeszła, poświęciła i po chwili Jake znalazł to, czego szukał. Kakao i torebkę z minipiankami, którą wręczył Caro.

- Dzięki. Nie martw się, na pewno się z tobą podzielę - oznajmiła, a widząc jego zdumione spojrzenie, dodała szybko: - Na pewno będziesz miał na nie ochotę. Zobaczysz.

Kąciki ust Jake'a drgnęły.

- No... może skuszę się na kilka.

- Kilka?! Kochany! Z minipiankami jest tak samo jak z chipsami. Jesz i jesz, nawet nie zauważysz, kiedy torebka jest już do połowy pusta...

- Chipsy? Raczej mi nie wyglądasz na kogoś, kto objada się śmieciowym jedzeniem.

- Och, każdy czasami lubi zgrzeszyć! Takie drobne przyjemności...

Powiedziała, a słowa jakby nie uleciały, tylko nadal unosiły się nad nimi w powietrzu. Przyjemności - małe, wielkie, grzeszne czy dozwolone... W ciągu ostatnich kilku miesięcy wszystkie przyjemności na liście priorytetów Jake'a były na szarym końcu. Co oczywiście wcale nie znaczyło, że o nich zapomniał.

Jego spojrzenie mimo woli znów spoczęło na pełnych wargach Caro, teraz lekko rozchylonych, zachęcających...

- Ty też na pewno masz jakieś przyjemności - powiedziała. - Ten likier.

- Likier... - powtórzył trochę nieprzytomnie, wpatrzony w jej usta.

- Likier miętowy, który chcesz dodać do kakao. To też taka grzeszna przyjemność, na pewno bardziej grzeszna niż pianki.

Fakt. Może i miała rację, ale jemu przychodziło do głowy coś bardziej ekscytującego niż łyček likieru.

- Zgadza się.

Wsypał kakao do kubków. Caro do swojego wrzuciła całą garść pianek. Jake ostrożnie wlał wrzątek do obu naczyń. Caro zamieszała. Jake do każdego wlał po łyčku likieru. Caro znów zamieszała, a potem oświadczyła:

- Trzeba przyznać, że stanowimy zgrany zespół.

Zespół...

Jake poczuł się nieswojo. On od dawna nie był członkiem żadnego zespołu. Od kilku miesięcy z własnej nieprzymuszonej woli pędził żywot pustelnika. Zawsze sam. Wszystko grało, ale teraz ten stan rzeczy zaczął mu doskwierać. Dlaczego?

- Jake? Wszystko w porządku?

Spójrzmy prawdzie w oczy, pomyślał. Wizyta rodziny, kłótnia z bratem to detale. Bo tak w ogóle to nic nie jest w porządku. A miesiące samotności nic nie dały. Było źle, jest źle i tak już chyba pozostanie.

Teraz jednak pokiwał głową. Oczywiście! Wszystko gra!

- Zanieś, proszę, kubki do stołu, a ja poszukam zapalek. Zapalimy świeczkę w tej ozdóbce na środku stołu.

- Jake! Przecież to jest dekoracja świąteczna, przygotowana na jutro!

- Nie przesadzaj. Moja matka na pewno nie miałaby nic przeciwko temu.

Znalazł zapalki. Zapalił świeczkę, kiedy jednak zajął miejsce naprzeciwko Caro, natychmiast pożałował, że tak się uparł. Bo w blasku świecy Caro wyglądała jeszcze piękniej.

Caro upiła łyk kakao. Z pianką, która osiadła na górnej wardze, poradziła sobie błyskawicznie. Po prostu ją zlizwała.

- Mmm... Jakie to dobre...

Jake też zaczął raczyć się gorącym napojem, prawie wzdychając z zadowolenia. Nie był fanem kakao, ale jeśli dodać do niego łyżeczek likieru i piękną kobietę, smakuje jak ambrozja.

- Rozgrzewa cudownie - powiedziała po chwili Caro. - Wiesz, mam wrażenie, jakbyśmy przed chwilą szaleli na dworze.

- Możemy potem porzucać śnieżkami.

- O nie, dzięki! Jakoś nie mam ochoty.

- Strach cię obleciał? A może nie masz wprawy?

- A wiesz, nie mam. Jestem jedynaczką.

- Nie było żadnych dzieci w sąsiedztwie?

- Były, ale śnieżkami rzucali przede wszystkim chłopcy.

Jake pokiwał głową. Fakt, to męska rzecz.

- A my, dziewczynki... - ciągnęła Caro - jak napadało dużo śniegu, lepiłyśmy bałwana. Z tym że ja specjalnie za tym nie przepadałam.

- Bo szczerze mówiąc, wolałaś rzucać śnieżkami?

Caro się roześmiała.

- Zawsze chciałam wziąć udział w bitwie na śnieżki, jaką urządzali chłopcy!

- Nic straconego. Masz synka, razem z nim na nowo odkryjesz świat.

- Ciekawe spostrzeżenie jak na kogoś, kto nie ma dzieci!

- Nie mam, ale Dean ciągle to powtarza. Chociaż... on nigdy nie przestał być dzieckiem.

Pośmiali się chwilę, a potem Caro wyciągnęła do niego otwartą dłoń, prezentując pofarbowane koniuszki palców.

- Czyli zgodnie z tą teorią, jajka wyjmujemy z farbki nie łyżką, a palcami!

- Oczywiście! Poza tym należy bawić się w chowanego.

- Tak. I wiem już, że jesteś w tym niezły. - Widziała, jak bawił się w chowanego z bratankami.

- Dzięki. Dobrze jest być wujkiem. Dzięki temu wolno ci czasami dopuścić do głosu dziecko, które siedzi w każdym z nas.

- Jake, przepraszam, może trochę obcesowo... Ciekawa jestem, jak widzisz swoją przyszłość. Zamierzasz ograniczyć się do bycia wujkiem czy chcesz kiedyś założyć własną rodzinę?

Pogodę na twarzy Jake'a natychmiast zastąpiła czujność. Odpowiedź była wyjątkowo lakoniczna.

- Nie.

W tym momencie powinna uznać temat za wyczerpany. Niestety, drażnyła dalej.

- Nigdy?

Przez dłuższą chwilę nie odzywał się, wpatrzony w migotliwy płomyk świeczki. Potem zaczął mówić bardzo powoli, z trudem.

- Kiedyś myślałem, że tak będzie. Poznałem kogoś. Ożeniłem się, kupiliśmy dom do remontu po okazji cenie. Podobno w niezłej okolicy. Dom na pewno miał potencjał, choć trzeba było w niego włożyć mnóstwo pieniędzy i pracy.

Caro słuchała go jednym uchem, zafascynowana tą jedną, niezmiernie ciekawą informacją - Jake McCabe był żonaty.

TLR

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Miranda.

- Co?! Znasz ją?

- Nie, nie. - Energicznie pokręciła głową, w którą najchętniej by się teraz walnęła. -

Po prostu słyszałam, jak ktoś wspomniał o jakiejś Mirandzie, no i... skojarzyłam.

- Wspomniał? Na pewno powiedział coś więcej!

- Ależ nie! - Trudno, skłamała. Nie powie mu przecież, że wspomniał o niej Dean.

- Przepraszam, Jake. Głupio wyszło. Przykro mi...

- Przykro...

Nagle zaśmiał się, bardzo niewesoło, nadal wpatrując się w płomień świecy.

- Mnie też jest przykro, że ją poznałem.

- A co konkretnie się wydarzyło?

Najpierw tylko coś tam mruknął. Ale nie powiedział, żeby zostawiła go w spokoju, więc uznała, że warto chwilę cierpliwie poczekać.

Opłaciło się.

- Krótko mówiąc, kiedy zrobiło się niełatwo, poszła sobie.

- A... dokładniej?

- Wolałbym o tym nie rozmawiać.

- Rozumiem. Przepraszam, nie chciałam być wścibska.

- Naprawdę chcesz o tym posłuchać?

- Tak. O ile ty, oczywiście, jesteś całkowicie pewien, że chcesz mi o tym powiedzieć.

- Ciekawe... - Jake lekko przechylił głowę i zapatrzył się na Caro. - Mam przecucie, że ty naprawdę potrafisz słuchać.

- Zgadza się. Taki mam zawód.

- Zawód? Psycholog? Psychiatra?

- Nie. Doradca szkolny.

- Naprawdę?!

- Zaskoczony? Moim zawodem czy tym, że pracuję?

- Z obu powodów. A gdzie konkretnie pracujesz?

- Przedtem w szkole prywatnej, mój mąż jednak postarał się, żebym straciła tę posesję. A teraz pracuję w niepełnym wymiarze godzin w szkole publicznej niedaleko Montpellier.

- A jakiego rodzaju były starania twojego męża?

- Zabawił się w sponsora.

Tak hojnego, że nowe skrzydło będzie nosić nazwisko Wendellów.

- A... rozumiem.

Caro uśmiechnęła się smutno. Truman, z tym swoim podstępym działaniem, a potem to jego gadanie.

Zrobiłem to dla twojego dobra, Caro. Nie powinnaś pracować. Powinnaś być w domu, przy dziecku. A ja będę troszczył się o was.

Nigdy nie był w stanie zrozumieć, że troska w jego wydaniu to w zasadzie ubezwłasnowolnienie.

- Nie spodziewałaś się, że twoje życie tak się potoczy, prawda? - spytał cicho Jake.

- Oczywiście, że nie. Byłam nastawiona na miłość do grobowej deski.

- Ja też. Kiedy poznałem Mirandę, uwierzyłem w te bajki.

- A mógłbyś mi powiedzieć, jeśli oczywiście chcesz, jaka ona była?

- Jaka? No... przede wszystkim całkiem inna niż ja. Inne zainteresowania, inne wartości i tak dalej.

- Podobno przeciwieństwa się przyciągają.

- A nie powinny. Trudno razem pokonywać przeszkody, jeśli nie nadajecie na tych samych falach.

- O tak.

- Miranda nie lubiła mojej pracy. Chociaż, żeby było śmieszniej, poznaliśmy się właśnie dzięki niej, bo na balu policjantów.

Policjant. Tak, to do niego pasowało. Bo niewątpliwie był człowiekiem, który potrafi opanować sytuację, potem skupić się na szczegółach.

- A z jakiego powodu odszedłeś z policji?

- Odszedłem, bo... bo coś się wydarzyło. Dowodziłem pewną akcją. Tragiczna pomyłka, w rezultacie zginęło dwoje niewinnych ludzi. Cywili. A policjant, który strzelał, młody chłopak, od niedawna w policji, odebrał sobie życie.

- Boże wielki... to straszne. I teraz ty obarczasz winą siebie.

- Trudno, żeby było inaczej. To ja wydawałem rozkazy.

- Jake, przepraszam, że pytam. Ale czy właśnie to wydarzenie miałeś na myśli, mówiąc, że żona odeszła, kiedy zrobiło się niełatwo?

- Tak. Powiedziała, że nie wytrzyma tej nagonki. W Buffalo jestem przecież persona non grata. Ludzie byli tym wydarzeniem wstrząśnięci. Co się dziwić! Zginęła kobieta i dziecko.

- Przerazające. Tak mi przykro, Jake...

Przez moment patrzyli sobie w oczy. W pociemniałych oczach Jake'a widziała bezmiar bólu.

- Ja nie zasługuję na współczucie. Nie! Zginęli niewinni ludzie!

- Jake...

- Daj mi skończyć! Wydział Spraw Wewnętrznych przeprowadził śledztwo w tej sprawie. I mnie, i tego chłopaka, który strzelał, oczyszczono z zarzutów. Ale chłopak i tak nie mógł z tym żyć.

- Jake... - odezwała się miękko - powiedziałaś, że oczyszczono cię z zarzutów. Ale ty sam siebie nie oczyściłeś. Dlaczego?

- Ludzie nie zaakceptowali wyników śledztwa. Nie po raz pierwszy zresztą. Podczas rozprawy w sali obecna była rodzina ofiar. W mieście doszło do demonstracji. Spalono mnie. Tak. Moją kukłę...

- To straszne.

- Dla mojej rodziny na pewno. W mieście pojawiło się kilku znanych zadymiarzy. Włączyli się do akcji. Krótko mówiąc, żądano mojej głowy. Ja i Miranda coraz bardziej oddalaliśmy się od siebie. Miranda znalazła sobie przyjaciela, miała więc komu wypłakać się na ramieniu! - Jake zaśmiał się gorzko. - Ten przyjaciel okazał się po prostu kochankiem... A moja rodzina przeżywała prawdziwe piekło na ziemi. Nigdy się nie skarżyli, ale te cholerne media nie dawały im spokoju.

- I to dlatego zrezygnowałeś z pracy i wyjechałeś w góry?

- Poproszono, żebym zrezygnował. Związek zawodowy chciał o mnie walczyć, ale moim zdaniem nie było sensu. W całym mieście aż huczało. Sytuacja była beznadziejna. A Miranda... no cóż... nasze małżeństwo się skończyło.

- Współczuję ci. Kiedy człowiek raptem uzmysławia sobie, jak bardzo się pomylił co do osoby, z którą chciał spędzić resztę życia, jest mu bardzo ciężko.

- Mówisz to z własnego doświadczenia?

Powoli pokiwała głową. Speszona, ale też smutna.

- Jak długo byłaś mężatką?

- Ponad cztery lata.

I cisza. Nie miała najmniejszego zamiaru wtajemniczać go w żadne szczegóły. I nawet jeśli z obawy przed utratą dziecka zmuszona będzie powrócić do Trumana, nigdy już nie będzie jego żoną.

- Oszukiwał?

- Och, nie... Truman jest bardzo związany z matką. Za bardzo. Małżeństwo ze mną było dla niego wielkim wyzwaniem.

- A... czyli w jego przypadku nie odcięto pępownicy?

- Coś w tym stylu. Na domiar złego Susan, jego matka, od początku mnie nie aprobowała. Jej zdaniem nie dorastam Wendellom do pięt.

- A co na to twój mąż?

- Truman uważał, że trzeba we mnie pewne rzeczy zmienić, żebym bardziej pasowała do nowego środowiska. Nieoszlifowany diament. Tak mnie nazwał i przez następne cztery lata szlifował zawzięcie.

- Naprawdę? Trudno uwierzyć. Bo ja widzę kobietę po prostu... perfekcyjną.

Palce o zgrubiałym naskórku odnalazły jej dłoń i lekko uściśniły. Trwało to tylko mgnienie oka, niestety wystarczyło, by ciało Caro raptem zwariowało. Zareagowało jak na najgorętszą pieszczotę.

Kompletnie zbita z tropu, zamilkła. Na szczęście Jake odebrał to chyba jako brak wiary w siebie, bo spytał:

- Chyba nie uwierzyłaś w te bzdury z diamentem?

- Nie, ale kiedy poznałam Trumana, przeżywałam bardzo trudny okres. Nie byłam sobą, łatwo było mi wmówić, że tylko on wie, co jest dla mnie najlepsze.

- Czyli typowy manipulanta.

- Niestety tak. Choć jednocześnie nie brakuje mu zalet. Wiem, że naprawdę kocha naszego synka i nigdy by go nie skrzywdził.

- A to bardzo istotne.

Oczywiście, choć sama miłość do dziecka nie wystarczy, by stworzyć udane małżeństwo. I stanowczo wystarczy już tych zwierzeń.

- Jake, a wracając do ciebie. Nie tęsknisz za dawną pracą?

- I tak, i nie. Podobało mi się, że pomagam ludziom, dbam o ich bezpieczeństwo.

Ale bywały dni...

- Jakie?

- Takie różne. Wiadomo, życie policjanta nie należy do najłatwiejszych. Nie wolno stracić czujności ani na sekundę. W rezultacie po powrocie do domu...

- ...w ogóle nie potrafisz się wyluzować.

- Tak. Bardzo wielu policjantów ratuje się zimnym piwem. Niestety, na jednym się nie kończy i z czasem...

- ...wpadają w nałóg. A ty jak odreagowywałaś? - spytała.

- Miałem warsztat w suterenie. Jak mój ojciec, on kiedyś zawsze coś tam dłubał.

Caro się zaśmiała.

- No popatrz! Mój ojciec też miał warsztat w suterenie, też coś tam dłubał, choć efekt bywał mizerny. Podejrzewam, że schodził tam wieczorami, by odetchnąć od swoich kobiet.

- Jaskinia faceta...

- Coś w tym rodzaju - potwierdziła.

- Mój ojciec specjalizował się w stolarce. Robił na przykład szafki. Rewelacyjne, mógłby je sprzedawać, ale on wolał rozdawać rodzinie i znajomym. Twierdził, że to tylko hobby. Najlepsza forma odpoczynku po całym dniu w biurze. Przez ponad trzydzieści lat pracował w ubezpieczeniach, teraz jest na częściowej emeryturze.

- A mama?

- Pani domu na pełnym etacie. Owszem, zdarzało jej się popracować w różnych miejscach. Raczej dziwnych, ponieważ dla niej było nie do pomyślenia, że chłopcy, czyli Dean i ja, po powrocie ze szkoły nie zastaną w domu matki. W rezultacie byliśmy niepokieszeni, bo rzadko mieliśmy okazję zjeść hamburgera.

- Ze mną było podobnie. Na wiele rzeczy narzekałam, dopiero kiedy zostałam matką, zmądrzałam. Dotarło do mnie, ile zawdzięczam rodzicom. Jak się dla mnie poświęcali. Bo tak to już jest. Dla swojego dziecka zrobisz wszystko.

- Jeśli masz szansę...

- Co masz na myśli?

- Nieważne... - mruknął, zauważyła jednak, że posmutniał.

Potrząsnął mocno głową, odchrząknął.

- W każdym razie ojciec nauczył mnie wszystkiego. Stolarka to zajęcie dla cierpliwych, dlatego Dean się nie sprawdził.

Czyli że Jake i Dean, chociaż zewnątrz bardzo do siebie podobni, mieli zupełnie różne charaktery. Dean spontaniczny, niecierpliwy, Jake cierpliwy, chyba bardzo ostrożny. Choć dziś o świcie pozwolił sobie na spontaniczność. Siedzi w kuchni z obcą osobą, popija kakao i zdradza swoje sekrety.

Może więc jest jednak inaczej. Jake tylko na początku jest sztywny i zamknięty w sobie, potem potrafi zdobyć się na szczerość. Opowiedział jej przecież niejedno. Ona zresztą też, co dziwne, ponieważ z natury była bardzo skryta. Nie zwierzała się nikomu, nawet osobom bardzo zaprzyjaźnionym. Nikt nie znał szczegółów jej rozpadającego się związku z Trumanem. A Jake'owi się zwierzyła. Dlaczego?

Tę zagadkę postanowiła rozwiązać później, bo teraz przede wszystkim chciała dowiedzieć się jak najwięcej o nim.

- A co produkowałeś w swoim warsztacie?

- Takie staroświeckie fotele bujane, które widuje się jeszcze na werandach starych domów.

- Naprawdę?! Ja je uwielbiam! Chociaż nigdy takiego nie miałam! Ja przecież... - uśmiech na moment znikł - ...nie mam werandy. Mieszkam w bloku. Ale może kiedyś...

Och, nieważne! - uśmiech, teraz może trochę bledszy, powrócił. - Pomówmy lepiej o twojej siedzibie. Co zamierzasz zrobić z tym zajazdem?

- Szczerze mówiąc, tak do końca jeszcze nie wiem.

- Ale po remoncie będziesz tu przyjmował gości? I wszystkim zarządzał? Jako właściciel?

- Nie.

Dokładnie to samo powiedział dzień wcześniej swojej rodzinie. Bo faktycznie nie kupił tego zajazdu po to, by prowadzić biznes. Chciał mieć dach nad głową i jakieś zajęcie.

- Szczerze mówiąc, sam jeszcze nie wiem.

- A ja ciebie widzę w takiej roli.

- Naprawdę? Jako właściciela zajazdu, który przyjmuje gości?

- Właściciela, owszem. To zresztą fakt dokonany. Ale takiego, który czuwa nad całością. Bo jeśli chodzi o przyjmowanie gości... Nie, lepiej posadź przy drzwiach jakąś milutką recepcjonistkę. Ty się nie nadajesz.

- Dzięki! - Zaśmiał się. - To miejsce kiedyś wyglądało całkiem inaczej. Mój ojciec odkrył je przypadkiem, podczas wyjazdu służbowego. Zaczęliśmy przyjeżdżać tu całą rodziną. Bardzo często, o różnych porach roku.

- Myślę, że przywrócenie tego miejsca do poprzedniego stanu da ci wiele satysfakcji. Poza tym masz jakiś cel, a to bardzo ważne po smutnych wydarzeniach w Buffalo.

Nic dodać, nic ująć. Trafiła w samo sedno. Jake mruknął coś niezrozumiale niezdecydowany, czy jest zadowolony, że ledwie poznana Caro tak dobrze go rozumie.

Fantastycznie było siedzieć z Caro w cichej kuchni, spowitej w półmrok. I rozmawiać. - Fantastycznie, choć czasami niełatwo. Na przykład kiedy Caro co jakiś czas tak wdzięcznie przechylała głowę, a w jej wielkich brązowych oczach odbijał się płomień świeczki. Wtedy do głowy przychodziły mu różne myśli. To znaczy nie, wcale nie różne, jedna. Po prostu bardzo chciał, żeby na pogawędce się nie skończyło.

Trudno uwierzyć, że wyznał jej aż tyle. Bardzo dużo, mimo że pominął szczegóły.

Obnażał przed nią duszę. Długo i wyczerpująco, dlatego był prawie pewien, że w którymś momencie będzie miała dość. Podziękuje grzecznie za kakao i rozmowę i wyj-

dzie z kuchni. A tymczasem słuchała go z wielką uwagą, cały ten czas wyczuwał jej skupienie. W rezultacie otwierał się coraz bardziej.

- Chyba już pora powiedzieć sobie dobranoc - stwierdził, wskazując na dopalającą się świeczkę.

- O tak! Zrobiło się późno.

I żadne z nich nie ruszyło się z miejsca, nie oderwało oczu od płomienia świeczki. Dopiero po dłuższej chwili Caro pierwsza wstała. Wzięła kubki i pomaszerowała do zlewu. Zaczęła je myć, a Jake szukał latarki. Kiedy Caro skończyła zmywanie, zdmuchnął świeczkę.

- A więc... dobranoc - powiedziała, starannie zasuważąc poły szlafroka.

- Jeszcze nie. Pójdę z tobą, bo może jednak warto dołożyć do ognia.

- Skoro tak uważasz...

Stare schody skrzypiały i pojękiwały, Jake był prawie pewien, że na szczycie schodów czekać będzie matka. Kiedyś było to regułą. Zawsze tam czekała, gdy wracając do domu po wyznaczonej przez nią godzinie, starał się wejść na górę bezszelestnie.

Teraz na szczęście drzwi pokoju zajmowanego przez rodziców były starannie zamknięte i dotarli na miejsce bez żadnych niespodzianek. Jake z twardym postanowieniem, że sprawdzi tylko, co z ogniem, I zniknął. Czuł się dziwnie. Zdenerwowany, jakby szedł na randkę.

Ogień w kominku faktycznie dogasał. Obok leżało już tylko kilka polan, czyli rano bezwzględnie trzeba będzie nanosić drewno.

Dokładanie do ognia zajęło mu kilka minut. Caro przez cały czas stała obok, przyświecając mu latarką. Dopóki ogień nie zapłonął.

Jake wstał.

- Do rana powinno wystarczyć.

- Świetnie. Dziękuję.

- To ja ci dziękuję, Caro.

- Przepraszam, ale za co?

- Za to, że mnie wysłuchałaś.

- Mówiłam ci, że jestem w tym dobra.

- Tak. I miałem okazję się o tym przekonać. - Delikatnie uścisnął jej rękę. Miała takie szczupłe, długie palce. - Przy tobie chce się mówić, Caro. Nawet takiemu mrukowi jak ja.

- Myślę, że po prostu czasami łatwiej jest otworzyć się przed kimś obcym.

- Może i tak.

Pokiwał głową, choć pod jednym względem absolutnie się z nią nie zgadzał. Dla niego nie była już obca.

Nagle uzmysłowił sobie, że nadal trzyma ją za rękę. Mimo woli zerknął w bok, na łóżko. Pościel skotłowana, w identycznym stanie, w jakim zostawiał ją on.

Skotłowana... Aż musiał przełknąć, kiedy pomyślał, że pościel może być skotłowana nie tylko dlatego, że ktoś ma niespokojny sen.

Spojrzał na Caro i natychmiast zorientował się, że jej myśli biegną tym samym torem. Na pewno, skoro usta miała leciutko rozchylone, a z oddychaniem wyraźnie problem.

- Naprawdę powinienem już iść - szepnął.

Zaczął ją przyciągać do siebie. Bardzo powoli, dając jej możliwość wyrażenia protestu. Pochylił głowę. Wreszcie jego usta dotarły do jej ust, które leciutko rozchyliły się na znak zgody. Wtedy omal nie jęknął ze szczęścia.

- Jake... - szepnęła, kiedy jego wargi przesunęły się po jej smukłej szyi.

Było rozkosznie, upajająco. Pachniała mydłem i kakao, dla niego nie było teraz piękniejszych zapachów. Tak samo jak słodszej, bardziej uroczej kobiety niż ta, którą trzymał w ramionach. Kobiety, która potrafiła zrobić coś cudownego. Kiedy skończył całować, przejęła pałeczkę. Objęła dłońmi jego twarz i teraz ona go pocałowała, dając mu szansę po raz drugi posmakować nieba.

A przez cały czas gdzieś w tle majaczyła pokusa, czyli łóżko. Coś w rodzaju testu na rozsądek Jake'a.

I właśnie ten rozsądek w końcu zwyciężył. Seks z Caro naprawdę nie miał najmniejszego sensu. Kiedy tylko drogi znów będą przejezdne, a samochód naprawiony, Caro wyjedzie. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek jeszcze się zobaczą. Prawdopodobnie

nie, a jeśli nawet, to właściwie po co? On nie zamierzał się z nikim wiązać, a ona na pewno nie była kobietą na jedną noc.

- Nie, to nie jest dobry pomysł - szepnął.

Caro zamrugła. Nawet w tym nikłym świetle zauważył, że się zarumieniła. A potem zaczęła go przeproszać.

- Proszę, wybacz. Nie powinnam była...

- Przestań! - zawołał i chwycił ją za ramiona. - To moja wina! Tylko moja!

- Ale przecież ja... ja też ciebie całowałam.

- To moja wina!

- Do niczego mnie nie zmuszałeś!

- Nie zmuszałem, ale...

- Masz rację, Jake. To nie jest dobry pomysł.

- Prawie się nie znamy...

- To też, w dodatku formalnie jestem jeszcze mężatką.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wczesnym rankiem Caro stanęła przy oknie, by pozachwycać się pięknym widokiem. Zajazd stał na polance wśród starych rozłożystych drzew, za którymi widać było na tle nieba majestatyczną górę. Tego dnia wszystko dookoła pokrywał śnieg. Biało i cicho.

A w zajeździe gwar. Już o świcie obudziły ją pokrzykiwania Jillian i Riley. Leżała w wielkim łóżku Jake'a i tuląc do siebie poduszkę, słuchała z rozczeniem, jak maluchy pędzą korytarzem. Potem zaskrzypiały schody, czyli schodziły na dół, dalej przy akompaniamencie pisków i pokrzykiwań.

Uśmiechnęła się do siebie, ale szczerze mówiąc, to chciało jej się płakać. Jej synek też tak hałasował.

Cabot... Przecież powinna być teraz z nim. A tymczasem nawet nie mogła zadzwonić. Niestety podczas zamieci została zerwana linia telefoniczna. A tak bardzo chciała usłyszeć głos synka, zapewnić go, że wkrótce się zobaczą.

Sądząc po radosnych piskach, Jillian i Riley znaleźli swoje koszyczki. Zejść na dół? Nie, jakoś nie miała ochoty. Poleżała jeszcze trochę, potem podeszła do okna i myślała o tym, co wydarzyło się poprzedniego dnia. I dlaczego.

Była przerażona. Nie tyle samym pocałunkiem Jake'a, ile swoją reakcją. Chyba jeszcze nigdy nie poddała się namiętności do takiego stopnia, że znikły wszelkie hamulce. Tak, tak właśnie było.

Po raz kolejny zamknęła oczy i po raz kolejny nic to nie dało. Nadal widziała Jake'a. Jego twarz, kiedy usłyszał, że kobieta, z którą się całował, jest mężatką.

Spodziewała się, że będzie zły, tymczasem na jego twarzy widać było przede wszystkim ogromne rozczarowanie. Jakby go zdradziła. Po sekundzie jednak twarz stężała, zmieniała się w nieruchomą maskę.

- Czyli nie jesteście rozwódką.
- Nie. Truman i ja nadal jesteśmy małżeństwem.
- Jesteście w separacji.

- Tak. Przez kilka miesięcy razem z synkiem mieszkałam w wynajętym mieszkaniu w Montpellier.

- Czyli dostaniesz rozwód?

- Nie.

Jakże trudno było powiedzieć to na głos. Prawie tak samo trudno, jak zaakceptować ten fakt.

- Jake, ja...

- Nie ma o czym mówić.

I wyszedł.

- Dość tego użalania się nad sobą - mruknęła, z pasją rozwiązując pasek pożyczanego szlafroka. Już najwyższy czas ubrać się i pomyśleć o tym, co najpilniejsze. O sytuacji na drogach i samochodzie.

Jake co chwilę zerkał sponad swego kubka z kawą, więc widział dokładnie, kiedy w drzwiach pojawiła się Caro. Włosy miała związane w koński ogon, twarz bez makijażu, ale i tak wyglądała pięknie. Tyle że ta piękna kobieta jest dla niego nieosiągalna, ponieważ jest mężatką.

Wypił łyk kawy i się skrzywił. Lura. Kompletny upadek dla kogoś, kto jest fanem szatana pozostawiającego na języku gorycz.

Dzieci, nadal w piżamkach, natychmiast podbiegły do Caro. Bardzo przejęte wydarzeniami tego poranka i nafaszerowane już słodyczami, przepychały się jedno przez drugie, żeby pochwalić się darami podrzuconymi przez Wielkanocnego Zajączka.

- Chcesz żelkę? - spytała Jillian. - Ja uwielbiam te różowe. A czarnych nie lubię.

- Czarne są po prostu obrzydliwe - stwierdził Riley. - Możesz zjeść wszystkie moje czarne.

- A ja je bardzo lubię! - zawołał Jake. - Miałaś mi je dać! Obiecałaś!

Jillian natychmiast wystąpiła z propozycją:

- Wujku, to ja ci oddam moje czarne, a Riley da Caro. Tak będzie sprawiedliwie.

Sprawiedliwie... Jake westchnął w duchu. Dzieciaki uczą się sprawiedliwości od pieluszek, niestety bardzo szybko mają okazję się przekonać, że życie nie zawsze jest

sprawiedliwe. Gdyby tak było, Caro, zamiast wprowadzać zamęt w jego życiu, byłaby teraz z mężem i dzieckiem.

Bonnie zawołała dzieci. Pobiegły do niej, do drugiego pokoju. Caro nadal stała w progu. Wyglądała na skrepowaną.

- Dzień dobry - powiedziała cicho.

- Dzień dobry! Jak się spało?

- Dziękuję, bardzo dobrze. - Wskazała na okno. - Przestało padać.

- Tak. Około czwartej.

Był w stanie udzielić tak precyzyjnej informacji, ponieważ o czwartej po raz kolejny przewracał się na drugi bok

- Piękna pogoda. Słońce świeci...

- Zgadza się - przytaknął. - Taka właśnie powinna być pogoda na Wielkanoc.

Nadzieja, zmartwychwstanie, zbawienie. Z tym właśnie wiążą się te święta, których od dłuższego czasu jakoś w ogóle nie przeżywał. Były mu doskonale obojętne, jak zresztą wszystko, bo tam, w środku, czuł się martwy. Pusty.

A teraz raptem, kiedy powtórzył w duchu trzy słowa, znów odczuł wagę tych świąt.

- Jake, chciałabym jeszcze raz przeprosić - odezwała się półgłosem. - Wolałabym, żeby to się nie stało.

Pobożne życzenia. Niestety każdy z nas czasami tak ma. On też.

Odsunął się z krzesłem i wstał.

- Może po prostu zapomnijmy o tym, zgoda? Przecież nikomu nie stała się krzywda. To tylko pocałunek.

W pokoju nie było najmniejszego śladu obecności Caro, ale i tak czuł jej obecność. Może dlatego, że teraz panował tu wzorowy porządek. Posłała przecież łóżko i starannie poskładała wszystkie ubrania porozrzucane po fotelach.

No i dobrze... Pomaszerował do szafy, po czyste dżinsy i sweter, ogolił się, umył zęby. A potem nagle zrobił coś, czego absolutnie nie zamierzał robić. Przysiadł na brzegu łóżka i z szuflady w nocnej szafce wyjął dziennik. Nie zaglądał do niego chyba od miesiąca. A teraz zaczął pisać.

„Dziś Wielkanoc. Twoi dziadkowie, także ciotka i wujek z Jillian i Rileyem są tutaj, w zajeździe. Niezapowiedziana wizyta. Jillian i Riley biegają teraz po domu, podjadają słodycze i bawią się piłką. Ty chyba byś się z nimi jeszcze nie bawił. Byłbyś za mały. Dopiero w przyszłym roku...

W zajeździe mamy pierwszego prawdziwego gościa. Pani Caro Franklin. Ma trzyletniego synka. Jechała do niego. Jej samochód wpadł w poślizg..."

Pióro znieruchomiało, spojrzenie Jake'a na moment pomknęło ku oknu. Caro... Ma nie tylko synka, lecz także męża, do którego wcale jej się nie spieszy. Męża, który manipuluje ludźmi. Niby są w separacji, ale jak powiedziała Caro, rozwodu nie będzie.

Ciekawe, co się za tym wszystkim kryje...

Doreen i Bonnie obierały ziemniaki na wieczorną ucztę. Na widok wchodzącej do kuchni Caro obie uśmiechnęły się i powitały ją chóralnym:

- Dzień dobry!

- Dzień dobry! - odparła radośnie, choć czuła się nieswojo.

Matka i bratowa Jake'a nie miały pojęcia, co wydarzyło się minionej nocy.

- Na pewno jesteś głodna - stwierdziła Doreen.

- Nie ukrywam, że tak.

- A co zwykle jadasz na śniadanie? Mamy jajka, bekon, chleb tostowy, a gdybyś miała ochotę na coś słodkiego, to zostało jeszcze trochę kawowego ciasta.

- Kawowego?! W takim razie mam wielką ochotę na coś słodkiego.

Doreen wytarła ręce w ściereczkę i podeszła do kuchennego blatu. Z plastikowego pojemnika wyjęła spory kawał ciasta, sięgnęła po nóż i zabrała się do krojenia.

- Ależ proszę nie robić sobie kłopotu - zaprotestowała Caro. - Mogę sama pokroić...

- Wykluczone. Jesteś tutaj gościem! Siadaj, proszę, zaraz wszystko podam.

Bonnie się zaśmiała.

- Lepiej rób, co każą, Caro! Doreen od razu podchwyciła żart.

- Oczywiście! Żle na tym nie wyjdiesz! Ta mała tylko dzięki temu, że chodziła za mną krok w krok, nauczyła się samodzielnie prowadzić dom. Już po kilku latach. Takie mądre dziecko!

Obie, Doreen i Bonnie, ryknęły śmiechem. Caro patrzyła na nie z zazdrością. Były takie zżyte. A ona i Susan, jej teściowa, to całkiem inna bajka. Bardzo rzadko śmiały się razem, zwykle tylko wtedy, gdy Cabot zrobił lub powiedział coś zabawnego. Zazwyczaj atmosfera była napięta. No i te ciągłe uwagi.

Chyba najwyższy czas podciąć mu włosy!

Ma takie rumieńce! Czy ty na pewno przed pójściem na plażę nasmarowałaś go kremem?

Powinnaś być bardziej stanowcza, jeśli chodzi o słodycze.

Susan prawdopodobnie skonfiskowała już wielkanocny koszyk.

Nagle gdzieś w głębi domu ktoś - dokładniej dwie osoby - wydał z siebie radosne okrzyki. Potem biegł.

- No tak! Dean znowu pozwolił im wziąć cukierki - powiedziała Bonnie i pospieszyła z interwencją, a po kilku minutach do kuchni wkroczył Jake. Ubrany w dżinsy i wełniany sweter. Na ramiona narzucił kożuch.

- A ty dokąd? - spytała matka.

- Trzeba narąbać drewno.

- Przecież za domem leży cały stos!

- Ale szybko wychodzi.

Przemaszerował przez kuchnię. Słyszały ciężkie kroki, kiedy szedł przez hol, potem odgłos zamykanych drzwi.

Doreen wyraźnie spochmurniała.

- Co go raptem ugryzło?

Caro w tym momencie omal nie udławiła się kawałkiem ciasta. Wiadomo, na złodzieju czapka gore.

- Ale... ale o co chodzi? - wymamrotała.

- Przecież narąbał już tyle drewna, że powinno starczyć do następnej wiosny... Znowu jakiś problem? Nie daj Boże! Wystarczy tego, co jest!

Caro dopiła kawę i wstawiła brudne naczynia do zlewu.

- Dziękuję. Ciasto było pyszne. Doreen, może mogłabym jednak w czymś pomóc?

- Absolutnie nie! - Doreen poderwała głowę i machając ręką, rzuciła żartobliwie: - Zmykaj z kuchni. A sio!

Uśmiechała się, ale z przymusem. Czyli z Jake'em naprawdę było coś nie tak...

Caro, zaniepokojona nie na żarty, wyszła z kuchni. Kiedy wolnym krokiem przemierzała salon, spojrzała w okno.

O wilku mowa...

Jake stał wśród stosów porąbanego drewna. Tyle polan, jakby wyciął co najmniej pół lasu. Dean również tam był, z tym że spokojnie popijał kawę. Starszy brat ponury jak chmura gradowa, młodszy pogodny, uśmiechnięty.

Kolejne polano rozpadło się na pół. Jake odczekał pół minuty i sięgnął po następną. Dean popijał kawę i się uśmiechał. Głupio.

Tak jak poczuła się teraz Caro. Narozrabiała. Trzeba było już na samym początku udzielić wyczerpującej informacji. Jestem Caroline Franklin Wendell. Mężatka. Żona Trumana.

Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Dla niej brzmiało to teraz jak wyrok, ale ze względu na Cabota była zdecydowana uszanować małżeńską przysięgę. Przede wszystkim formułę - nie opuszczę cię aż do śmierci. Z innymi aspektami będzie problem. Chodzi o uczucia...

A właśnie. Tu mamy największy problem. Jeszcze do wczoraj była pewna, że jej serce nigdy już nie zabije szybciej na widok mężczyzny. A jednak...

Przyspiesza. Na widok Jake'a.

Jake musiał wyczuć jej spojrzenie. Poderwał głowę i spojrzał w okno. Dokładniej - prosto w jej oczy. Tak trwali, aż nagle Caro coś sobie uświadomiła. A to, co do niej dotarło, było po prostu porażające.

Odruchowo podniosła rękę, pomachała, potem dłoń, zamiast opaść, przyłgnęła do zimnej szyby. Jakby sięgała po coś. Po coś, co jest nieosiągalne...

- No proszę! I co my tam widzimy?

Na widok Bonnie Caro szybko cofnęła rękę.

- Żadnych sensacji - powiedziała szybko. - Rąbią drwa.

- Rąbią?! - Bonnie się zaśmiała. - Jak zwykle rąbie Jake, a Dean tylko się gapi. Zraz mu wygarnę.

Otworzyła szeroko okno i krzyknęła:

- Ej, chłopcze, wstydu nie masz! Bierz się do roboty! Pokaż, co potrafisz! O matko, jak zimno!

Jej interwencja odniosła pożądany skutek. Dean uśmiechnął się do żony, nieśpiesznie odstawił kubek i odebrał od Jake'a siekiere. Teraz nastąpił maleńki show, ponieważ Dean chwilę się przeżył, napinał, prezentując żonie wspaniałe mięśnie. Żona, niby zde gustowana, wywracała oczami, jednocześnie jednak chichotała jak nastolatka.

A potem obaj mężczyźni ściągnęli okrycia, Jake pozbył się też swetra, chwycił za drugą siekiere i rozpoczęły się zawody. Rąbali zawzięcie.

Caro patrzyła jak zahipnotyzowana. To niepojęte, że faceci rąbiący drwa mogą wyglądać tak seksownie.

Zwłaszcza jeden z nich.

- Odbiło im - oświadczyła po jakimś czasie Bonnie.

Caro mruknęła tylko coś niezrozumiale, nie odrywając oczu od Jake'a. A Bonnie zastukała energicznie w szybę. Obaj mężczyźni jak na komendę spojrzeli w okno, wtedy je otworzyła i szybko ogłosiła werdykt:

- W imieniu obrońców drzew ogłaszam koniec zawodów! Obaj byliście wspaniali, wynik może być tylko jeden. Remis! Jesteście wielcy!

Dean uśmiechnął się do żony.

- A co z nagrodą?

- Rozdanie nagród nastąpi później - oświadczyła małżonka.

Jake, ocierając pot z czoła, spojrzął na Caro.

- A co z moją nagrodą?

Nagrodą? A cóż ona może mu dać? Nic! Przecież nie ma prawa...

Nie ma, ale jej głupie serce oczywiście i tak zabiło o wiele szybciej.

Kątem oka zauważyła, że Bonnie wlepiała w nią oczy. Dean prawdopodobnie też.

No i co ona ma teraz zrobić? Co?!

Na szczęście nic, bo w polu widzenia pojawiły się dzieci.

Jake wziął chłopczyka na ręce. Riley piszcząc zachwycony, a Caro nagle oczyma wyobraźni zobaczyła Jake'a z innym chłopczykiem na rękach.

Z Cabotem.

Truman nie potrafił poszaleć z dzieckiem. Wolał poczytać bajkę na dobranoc. Podobnie jak matka nade wszystko cenił sobie ciszę i spokój. A Caro uwielbiała zaraźliwy śmiech Cabota i jego żywiołowe reakcje.

- Jake ma wspaniały stosunek do dzieci - powiedziała cicho.

- Oczywiście! - przytaknęła Bonnie. - Mógł być wspaniałym ojcem...

- Przepraszam, ale jak to... mógł być?

Bonnie odchrząknęła.

- Och, przejęczyłam się. Będzie, oczywiście. Kiedyś będzie wspaniałym ojcem!

Nie, coś tu nie gra. Caro, zerkając na wyraźnie speszoną Bonnie, była pewna, że Bonnie wcale się nie przejęczyła.

ROZDZIAŁ ÓSMY

A co z moją nagrodą?

Idiota. Po pierwsze, że tak głupio spytał. Po drugie, że rozczarował go brak odpowiedzi.

Dean jak zwykle ganiał z dziećmi, całą robotę zwalając na niego. Nie szkodzi. Było mu to nawet na rękę, bo koniecznie chciał się czymś zająć. Wiadomo po co, żeby w końcu przestać myśleć o pewnej osobie. Niestety, ta metoda nie do końca okazała się skuteczna, a teraz całkowicie zawiodła, ponieważ ta osoba szła przez śnieg, zmierzając dokładnie w jego stronę. A jemu na moment zaparło dech na widok Caro ubranej w parkę z modnym nadrukiem. Tylko to było jej własnością. Reszta pożyczona.

- Mam zamiar pójść do mojego samochodu - oznajmiła. - Sprawdzić, jak to z nim jest. Może dali radę go odholować? Jeśli nie, wezmę z torby jakieś ubranie.

- Aha. I masz zamiar dotrzeć tam na piechotę?

- Skoro nie ma innej możliwości...

- Jest.

Do zeszłej zimy stare sanie rezydowały w szopie. Sądząc po rdzy na płozach, co najmniej kilka lat. Tak orzekł Jake, kiedy jesienią dokonał oględzin i postanowił doprowadzić je do stanu używalności.

Kiedy wprzągał do sań Bess, Caro słuchała radosnego podzwaniania dzwoneczków przy uprzęży. Uśmiechnęła się.

- Wczoraj podczas zamieci, najpierw usłyszałam te dzwoneczki. Potem ukazałeś się ty. Dumny jeździec spieszący mi na ratunek.

- O, przepraszam. O ile mnie pamięć nie myli, wzięłaś mnie za anioła!

- Bo myślałam, że już nie żyję!

- A, rozumiem. I byłaś pewna, że wpuścili cię do nieba!

- Oczywiście! A tak na poważnie, to może nie jesteś aniołem, ale bohaterem na pewno. Dzięki tobie żyję.

- Po prostu zjawiłem się tam w odpowiednim momencie. To wszystko.

- Nie bądź taki skromny! Aha, a twemu bratu mam również wiele do zawdzięczenia. Całe szczęście, że się wtedy pokłóciliście.

- Fakt. Czyli nawet Dean bywa użyteczny...

- Wujku, wujku, my też pojedziemy, dobrze?! - zawołała Jillian, wbijając w wujka błagalny wzrok.

- Potem.

- A dlaczego nie już? Wujku! Prooszę! - zajęczała dziewczynka, a Riley złożył rączki jak do modlitwy. Jake się uśmiechnął. Mali aktorzy! Sam kiedyś z Deanem stosował tę taktykę.

- Teraz jadę tylko z Caro. Musimy sprawdzić, jak tam z jej samochodem.

- I zaraz wracamy - wtrąciła Caro. - Wy skończcie lepić bałwanka. Nie zapomnijcie o marchewce! Musi mieć przecież nos! A kiedy wrócimy, wujek na pewno was przewiezie.

Dzieci, na pewno trochę rozczarowane, ale pogodzone z losem, pobiegły z powrotem do bałwanka.

- Wsiądziesz sama, Caro?

- A co? Myślisz, że nie wdrapię się na te sanie?

- Ty decydujesz.

- Jake, przecież żartuję. Oczywiście, że bardzo chętnie skorzystam z twojej pomocy.

- Nie ma sprawy.

Stanął za nią i chwycił ją mocno w pasie. Musiał jej dotknąć, a to dla niego było prawdziwą torturą. W rezultacie, kiedy siadał obok niej, był wściekły.

- Czyli rozwodu nie będzie? Dlaczego? - spytał.

- A... dlaczego pytasz? Przecież dla ciebie nie ma to żadnego znaczenia. Sam powiedziałeś, że nikomu nie stała się krzywda, pamiętasz? Tylko pocałunek.

Jake zacisnął zęby i chwycił za lejce. Bess zaczęła przekopywać się przez głęboki śnieg.

- Po prostu jestem ciekaw. Nie zapominaj, że byłem gliną.

- I tylko dlatego chcesz to wiedzieć?

- Powiedzmy. A więc?

- To jest dość... skomplikowane.

- Tego rodzaju sprawy nigdy nie są proste. W końcu po tym, co wydarzyło się tej nocy, należą mi się jakieś wyjaśnienia.

Zauważył, że jej policzki, zaróżowione z zimna, zrobiły się o ton ciemniejsze.

- Wolałabym, żebyś zadawał pytania.

- Dobrze. A więc... kochasz go?

- A ty tak od razu z grubej rury - wymamrotała pod nosem.

- Trudno. A więc?

- A więc... kiedyś tak. A przynajmniej tak mi się wydawało. Ale już nie. Po tym wszystkim, co się wydarzyło...

- Czym on się zajmuje?

- Firmą rodzinną. Spółka Fortune 500. Inwestycje. Truman zaczął nią kierować zaraz po ukończeniu colleges, kiedy umarł jego ojciec.

- Gdzie studiował? Czekaj, niech zgadnę. Harvard?

- Nie. Yale.

- Aha. Czyli pieniądze mają od dawna.

- Zgadza się. Wendellowie byli bogaci pięć pokoleń wstecz. Kolej, rozumiesz. Tak mi przynajmniej powiedziano.

- Gdzie go poznałaś?

- Pracowałam w ekskluzywnej szkole, do której Wendellowie uczęszczali od początku ubiegłego wieku. Nadal hojnie ją wspierają. Może już ci wspomniałam, że dzięki ostatniej dotacji mego męża powstaje nowe skrzydło.

- Tak, wspomniałaś. I dzięki tej dotacji ktoś dostał amnezji. Zapomniał, że obiecał trzymać dla ciebie pracę, kiedy będziesz na urlopie macierzyńskim.

- Tak... A wracając do twojego pytania. W tej szkole wiosną organizuje się zjazd absolwentów. Bankiet, na który zaprasza się również pracowników szkoły, bo mają zadanie do wykonania. Wmieszać się w tłum, zabawiać gości i jednocześnie, chwalić się sukcesami szkoły, wspomnieć, że było to możliwe tylko dzięki dotacjom, których rodzi-

na danego rozmówcy nigdy nie skąpiła. Na jednej z takich imprez obecny był również Truman.

- Ty też i wmieszałaś się w tłum.

- Tak. Truman w poniedziałek po bankiecie wpadł do szkoły i chciał się ze mną umówić.

- A ty uznałaś, że dla dobra sprawy nie powinnaś mu odmawiać?

- Szczerze mówiąc, czułam się wyróżniona. Trochę się dziwiłam, że właśnie na mnie zwrócił uwagę.

- A dlaczego nie? Jesteś bardzo ładna, elegancka, seksowna...

- W każdym razie ani się obejrzałam, a zrobiło się na poważnie. Nie byłam pewna, czy jestem gotowa na stały związek. Ale Truman był taki opiekuńczy, taki rozsądny. Nie mogłam mu niczego zarzucić. Przeciwnie! Stać go też było na takie miłe, romantyczne gesty. Wszyscy moi znajomi, także z pracy, byli nim zachwyceni. W rezultacie, kiedy poprosił mnie o rękę, bez wahania powiedziałam „tak”. Czułam się wtedy bardzo samotna, bardzo chciałam mieć kogoś bliskiego.

- Czyli to się działo w krótkim czasie po śmierci twoich rodziców?

- Tak.

Wszystko jasne. Truman po prostu to wykorzystał, Caro zresztą wspominała, że ten facet potrafi manipulować ludźmi.

- Na początku dobrze nam się układało - mówiła dalej. - Zwłaszcza kiedy w pobliżu nie było jego matki. Co niestety nie zdarzało się często. Truman stawał się coraz bardziej apodyktyczny. Sterował mną na każdym kroku. Kiedy pozbierałam się już trochę po śmierci rodziców, zaczęło mnie to irytować. Myślałam nawet o rozwodzie, ale na świat przyszedł Cabot, postanowiłam więc wytrwać. Dla dobra dziecka, a także dlatego, że małżeństwo jest dla mnie czymś ważnym.

- Jasne - mruknął Jake.

Ileż to razy starał się przekonać Mirandę, by poszli do poradni rodzinnej? I to jeszcze zanim się dowiedział, że Miranda jest w ciąży.

- A jaki był powód twojej ostatecznej decyzji o odejściu od męża?

- Takie drobne sprawy, które w chwili, gdy jego matka wprowadziła się do nas, urosły do rangi problemu.

- No to musiało być zabawnie.

- Niestety nie. Susan wszystkim chciała rządzić. Kiedy skarżyłam się Trumanowi, on zawsze stawał po jej stronie.

- Ale teraz się wyprowadza? Twoja teściowa? I dlatego zdecydowałaś się wrócić do męża?

Dzwoneczki podzwaniały w rytm przytłumionego przez śnieg stukotu kopyt Bess. Gdzieś nad ich głowami zakrakała wrona.

- Caro? Na to pytanie nie chcesz odpowiadać? - spytał cicho.

- Odpowiem. Wracam tylko z powodu mojego synka.

Podniosła głowę. Oczy lśniły od łez, które zresztą płynęły już po policzkach.

Nie, nie mógł znieść widoku zapłakanej Caro.

- Ho, ho! - zawołał, ściągając lejce.

Wielki koń się zatrzymał. Caro płakała dalej. Szlochała, wylewając strumienie łez.

- Caro, proszę, nie płacz. Wszystko jakoś się ułoży. - Przytulił ją mocno. - Domyślałam się, że nie chcesz rozbijać małżeństwa ze względu na dziecko. Wiadomo, najlepiej, kiedy dzieci mają w domu i matkę, i ojca. Ale ty go nie kochasz, a on ciebie niszczy. I to wszystko może bardzo źle odbić się na waszym dziecku.

- Przecież wiem.

- W takim razie dlaczego do niego wracasz?

- Bo jeśli nie wrócę, Truman odbierze mi synka. On i jego matka. A ja nie pozwolę, żeby moje dziecko wychowywała ta stara, gderliwa snobka!

- O opiece nad dzieckiem decyduje sąd.

- Ale tak się składa, że każdy sędzia w mieście zna Wendellów. Chyba wszyscy sędziowie w całym Vermoncie, a Wendellowie dotują nie tylko szkoły!

- Sędziowie mają obowiązek być bezstronni - powiedział Jake twardo, choć doskonale wiedział, że nie zawsze tak jest.

- Nie mam pieniędzy, żeby z nim walczyć, Jake.

- Ale ja mam. Mogę ci pomóc. Kiedy odchodziłem z policji, dali mi naprawdę dobrą odprawę. Te pieniądze zainwestowałem, wszystko wskazuje na to, że bardzo rozsądnie. Zjazd to całkiem inna historia. Jeszcze nie wiadomo, czy się opłaci.

- Na pewno się uda - powiedziała szybko, nie odrywając od niego oczu.

Niewątpliwie zastanawiała się nad jego propozycją.

A w głowie Caro faktycznie kłębiło się teraz od różnych myśli i bardzo wielu pytań, spośród których wybrała to jedno, bardzo istotne.

- Jake, ale dlaczego chcesz mi pomóc? Właśnie ty?

- Bo wiem, co to znaczy stracić dziecko.

- Ty? O Boże... a ja wcale nie podejrzewałam, że masz z Mirandą...

- Nie mam - odparł, mieniając się na twarzy. - Nie mam. Miranda postarała się o to, wyjeżdżając do innego stanu, by dokonać aborcji. Jeszcze zanim orzeciono rozwód.

- Och nie! Jake, tak mi...

- Mnie też. Każdego ranka, gdy budzę się, pierwszą moją myślą jest żal, że mojemu dziecku nigdy nie było dane zaczerpnąć powietrza. Jeśli chcesz walczyć o synka, pomogę ci.

- Sama nie wiem, Jake...

- Z powodu mojej problematycznej przeszłości w Buffalo?

- Oczywiście, że nie! - zaprzeczyła żarliwie. - Tylko... no tak. Gdyby Truman i jego matka dowiedzieli się o tamtych... wydarzeniach, na pewno by to wykorzystali. Bez żadnych skrupułów. Media znów zaczęłyby się interesować tobą i twoją rodziną!

- Chwileczkę! Przecież twój mąż nie musi wiedzieć, skąd masz pieniądze na opłacenie prawnika.

- Jake, bardzo ci dziękuję za dobre chęci. Nie obraż się, ale uważam, że powinnam się nad tym jeszcze zastanowić.

- W porządku. Daj znać, jaka jest twoja decyzja. Twój samochód stoi już za następnym zakrętem.

Przez całą drogę powrotną żadne z nich nie odezwało się ani słowem. W sumie nic dziwnego. Wszystko zostało powiedziane, teraz można było przystąpić do przemyśleń. Głowa Caro pracowała na najwyższych obrotach. Nie, nie miała prawa przyjmować od

Jake'a pieniędzy. Co innego pożyczka. Tak. To idealne rozwiązanie w tej sytuacji, bo żaden bank nie udzieli pożyczki komuś zatrudnionemu w niepełnym wymiarze godzin.

Po rodzicach nie odziedziczyła właściwie niczego. Prawie wszystko poszło na opłacenie rachunków. To, co zostało po sprzedaży domu i uregulowaniu spraw podatkowych, potraktowała jako swój posag. Nie chciała wchodzić do rodziny Wendellów jak żebraczka, tym bardziej że wiedziała, co myśli o niej przyszła teściowa.

Samochód był przysypany śniegiem. Na szczęście udało się jakoś wydobyć z niego obie torby. Autostrada międzystanowa nie była jeszcze odśnieżona, co zmartwiło Caro. Truman co prawda wstrzymał się z pozwem. Dał jej czas do końca tygodnia, ale i tak powinna jak najszybciej ruszyć w drogę do Burlington.

Byli już coraz bliżej domu. Dostrzegła między ośnieżonymi drzewami stary zajazd, zniszczony, ale nadal bardzo piękny. Była pewna, że kiedy Jake skończy remont, zajazd będzie pękał w szwach. Przez okrągły rok.

Chciała mu to powiedzieć, ale gdy zwróciła się ku niemu twarzą, nagle na samym środku jego szerokiej piersi zrobiło się białe. Ktoś rzucił śnieżką. Kto? Bystre oko Caro szybko wyłowiło wśród gigantycznych klonów i sosen cztery postacie. Dwoje dorosłych i dwoje dzieci.

- To Riley! Riley! - krzyczała zachwycona Jillian, podskakując na tyle wysoko, na ile pozwalał gruby kombinezon koloru lawendy.

- Synu, ile razy mówiłem ci, że trzeba celować wyżej? - odezwał się bardzo surowym głosem ojciec. - Wyżej. Wtedy trafisz tam, gdzie trzeba. O tak.

Dean nachylił się, zebrał pełną garść śniegu, ścisnął i rzucił. Prosto w czapkę Jake'a.

Jake nawet nie mrugnął okiem. Tylko spytał:

- To ty?

- Ja! A bo co?! - Uśmiech Deana był równie promienny i szeroki jak uśmiech jego synka.

- Poszaleli - podsumowała Bonnie, po czym szybko przykucnęła, nabrała śniegu i wydając bojowy okrzyk, wycelowała w męża. Był to mistrzowski rzut, ponieważ razem ze śnieżką na ziemi wylądowała czapka Deana.

- Chwileczkę! A po czyjej ty właściwie jesteś stronie? - spytał Dean, sięgając po ośnieżoną czapkę.

- Razem z Caro i Jilly! Caro, zeskakuj!

- A... rozumiem - Dean pokiwał głową. - Chłopaki przeciwko dziewczynom?

- Tak. O ile wy, znane ofermy, podejmiecie wyzwanie!

- Oczywiście! A jaka będzie nagroda, jeśli wygramy?

- Zwycięzcy siadają przy kominku, a ci, co przegrali, robią dla nich gorące kakao - zaproponowała Bonnie.

- Może być - powiedział Jake. - Caro wie, jakie kakao lubię.

- Jeszcze nie wiadomo, kto komu będzie robił! - zripostowała Caro.

- Pożyjemy, zobaczymy...

I mrugnął do niej. Tak! Ponury Jake McCabe puścił do niej oczko. Była tym tak zafascynowana, że wcale nie zauważyła, jak Jake zbiera z piersi resztki śniegu. Zrobił to błyskawicznie, a potem tym śniegiem potarł jej twarz.

- Umyłem ci buźkę - oświadczył.

Mrugnął jeszcze raz i zeskoczył z sań.

- A więc wojna! - krzyknęła Caro.

Błyskawicznie podzielono się na dwa obozy i zaczęła się bitwa. Śnieżki latały w obie strony. Kobiety, czyli Bonnie, Caro i Jillian, zajęły pozycje za przewalonym drzewem. Jillian miała za zadanie dostarczać amunicję.

Pierwsze kroki Caro na wojennej ścieżce nie były imponujące.

- O matko! A co to miało być? - zaśmiewała się Bonnie, kiedy jedna z pierwszych śnieżek rzuconych przez Caro spadła dosłownie pół metra dalej.

- Wybacz, Bonnie, ale wyszłam trochę z wprawy.

- To wejdź z powrotem, dziewczyno! Nie mam zamiaru podawać dziś Deanowi kakao! Ten facet już i tak ma kompletnie przewrócone w głowie!

- Damy radę! - oświadczyła Caro z całą mocą, dokładnie w chwili, gdy okazała śnieżka rozpląszczała się na pniu drzewa tuż za nią.

- No... nie jestem taka pewna - mruknęła Bonnie. - Może lepiej już zdradzisz, jakie kakao lubi Jake...

- O nie! Bonnie, a kto to się schował za saniami? O tam, za płożą?

- Chyba Dean, ale nie jestem pewna. Są bez czapek, a mają przecież włosy tego samego koloru. Ale czy to takie ważne? Wal śmiało, Caro!

- Tylko nie w Riley'a, proszę - rozległ się nagle zatroskany głosik Jillian. - To nie jego wina, że jest chłopcem!

- Oszczędzę go. Ale w resztę będę walić bez ograniczeń! Zrobię, co w mojej mocy!

- oświadczyła żarliwie Caro.

- Z tą twoją mocą jak dotąd chyba nie najlepiej! - roześmiała się Bonnie.

- Może i tak, ale mam swoje sposoby! - zakrzyknęła Caro, zrywając z głowy czapkę. Zaczęła nią machać, jakby zamierzała się poddać.

- Nie strzelać! Nie strzelać!

Jake błyskawicznie wyłonił się ze swojej kryjówki.

- Co się dzieje?

- A to!

Śnieżka, która wyleciała z jej lewej ręki, pokonywała dystans z szybkością błyskawicy. Niestety, strzał nie był celny, bo trafiła w ziemię jakieś dwa metry od Jake'a. Kiedy Jake, trochę zdezorientowany, na moment zastygł, Bonnie i Jillian zasypały go gradem śnieżnych kul.

- Chłopaki, załatwiły mnie! - zawołał, osuwając się na ziemię. - Teraz wszystko w waszych rękach!

Dean i Riley dawali z siebie wszystko, bardzo szybko jednak zmuszeni zostali do przejścia z ataku do obrony. Poza tym pojawiła się pewna komplikacja. Mały Riley próbował przejść na stronę wroga.

Caro słyszała, jak Dean tłumaczy synkowi:

- Podczas walki nie przechodzi się na drugą stronę. To niedopuszczalne. Poza tym to są dziewczynki, Riley!

- Ale one wygrywają, tato!

- Mądry synek! - wrzasnęła Bonnie. - Wie, że warto trzymać ze zwycięzcami!

- To może zakopujemy już topór wojenny - zaproponował Dean.

- Pod warunkiem, że opcja z kakao jest aktualna!

- Poddajemy się, Dean - oświadczył Jake, podnosząc się z ziemi. - Z nimi nie wygramy.

Caro od dawna nie czuła się tak cudownie młoda i beztroska. Tak. Te święta są po prostu wyjątkowe. Dają nadzieję!

Bonnie zagoniła dzieci do środka, Dean zaopiekował się torbami Caro, a Caro asystowała Jake'owi przy wyprzeganiu Bess. Razem wprowadzili konia do stajni, wytarli wiechciami ze słomy.

Kiedy szli już w stronę domu, Jake powiedział:

- Oszukałaś mnie! Niepojęte!

- Wcale nie oszukałam. Zastosowałam odpowiednią taktykę.

- Użyłaś podstępu!

- Niech ci będzie. Ale podczas walki należy być przygotowanym na wszystko!

Wykiwałam cię. Bardzo mi przykro.

- Przykro? Tobie? Chyba jednak nie!

- Oczywiście, że nie! - przyznała Caro, wybuchając śmiechem. - W miłości i na wojnie nie obowiązują żadne zasady.

Dziwne, ale oboje nagle spowaźnieli. Mało tego, kiedy dotarli do drzwi, żadne z nich nie kwapiło się z wejściem do środka. Zatrzymali się na schodkach. Caro o stopień wyżej, oparta o poręcz.

Jake zdjął rękawicę z prawej ręki i wierzchem dłoni delikatnie pogłaskał Caro po policzku.

- Cieszę się, że widzę cię właśnie taką...

- A jaką? - szepnęła.

- Wesołą, roześmianą. Kiedy się uśmiechasz, jesteś jeszcze piękniejsza.

Przechylił lekko głowę w bok i zaczął nachylać się ku Caro. Niestety, kiedy jego usta już prawie dotknęły jej ust, nagle ktoś szarpnął za klamkę. Drzwi otwarły się, w progu stanął Riley.

- Wujku, czy ty będziesz całował się z Caro? - spytał z ożywieniem.

- A skąd! Caro ma rzesę w oku. Trzeba ją wyjąć.

- Aha.

Riley był wyraźnie usatysfakcjonowany odpowiedzią. Caro poczuła ulgę, co było jednak ulotne, ponieważ chłopczyk miał coś jeszcze do powiedzenia.

- A tato mówił, że ty na pewno ją pocałujesz.

W tym momencie ktoś ryknął śmiechem. Ktoś, kto stał w środku, ale bardzo nie- daleko. Caro najchętniej zapadłaby się teraz pod ziemię. Jake wyraźnie był na granicy wybuchu. Riley uśmiechał się od ucha do ucha.

Identyczny uśmiech widniał na twarzy Deana, na którego natknęli się tuż za pro- giem. Szybko jednak usunął się w cień, ustępując placu Doreen, która również pojawiła się w holu.

- Słuchajcie, o co chodzi z tym gorącym kakao? Bonnie coś mi zaczęła klarować, ale ja niczego nie rozumiem.

- Bo my, babciu... - Okazało się, że Jillian również jest w pobliżu. Stała na wycie- raczce i zdejmowała buty.

- Biliśmy się na śnieżki!

- I ja przegrałem! - wtrącił płaczliwym głosem Riley. - Następnym razem nie chcę być z tatą i wujkiem! One zwyciężyły, babciu, i teraz my musimy zrobić im kakao!

- Każdy czasami przegrywa. Nie trzeba robić z tego tragedii. I dziękuję ci, bo dzie- ki tobie wiem nareszcie, o co chodzi z tym kakao!

- Ale chyba nie masz zamiaru ich wyręczać? - spytała Bonnie, również nagle poja- wiając się w holu.

- Oczywiście, że nie! Tylko powiedz mi jeszcze jedno. Kobiety walczyły przeciw- ko mężczyznom?

- Tak.

- I my, kobiety, pokonałyśmy ich. Świetnie, w takim razie ja też chcę, żeby ktoś mi zrobił kakao! - Doreen odwróciła się w stronę schodów i krzyknęła: - Martin!

- Daj spokój, mamó - mruknął Jake. - Może ojciec wcale nie jest spragniony towa- rzystwa.

- A skąd wiesz? - zawołał Dean. - Mów za siebie! Każdy jest inny. Ja na przykład nie tracę głowy na widok pięknej kobiety...

- Chwileczkę! Jak mam to rozumieć? - Bonnie spiorunowała męża wzrokiem, a on tylko mruknął:

- Przecież wiadomo, o kogo chodzi...

- No już dobrze. A teraz, wracając do kakao. Pamiętaj, masz wrzucić do środka kilka pianek.

- I niech ci wleje łyżeczek likieru miętowego - poradziła usłużnie Caro. - Pychota. Jake ma w szafce całą butelkę.

- A wiesz, że to nawet niezły pomysł - orzekła Bonnie i ruszyła za mężem. Dzieci pognały za rodzicami, Doreen gdzieś znikła, Jake i Caro zostali sami.

Caro przysiadła na ławeczce i zaczęła ściągać kompletnie przemoczone botki. - Pomogę ci.

Przyklął przed nią i bez problemu rozpiął zamki błyskawiczne w obu botkach. Na tym jednak nie poprzestał. Ściągnął botki, odstawił na bok i przystąpił do masażu stóp. Niedługiego, ale była to prawdziwa rozkosz. Mimo dwóch par grubych wełnianych skarpet czuła doskonale ciepło jego palców i to, co te palce wyczyniały z jej stopami.

- Dziękuję - wykrztusiła po chwili, nadal pod wrażeniem. - Z tym że o ile mnie pamięć nie myli, nagrodą jest gorące kakao. O masażu stóp nikt nie wspominał. Zatem...

- Potraktuj to jako premię. I wiesz... Dean ma rację. Faktycznie tracę głowę na twój widok.

- Och, Jake...

- Tak. Nie da się ukryć - stwierdził, podnosząc się z kolan. - Sam nie wiem dlaczego. Przecież jestem facetem bardzo opanowanym, konkretnym. Chyba dlatego podjąłem pracę w policji. Tam wszystko opiera się na dowodach. Ale w tej sprawie...

- Ale ja nie jestem sprawą, Jake.

- Przecież wiem! - Jake potarł ręką kark. Sprawiał wrażenie człowieka kompletnie zagubionego. - Zachowuję się niezgodnie z moją naturą. Na przykład na tych schodkach. Raptem zapragnąłem cię pocałować. Gdyby nie Riley, na pewno bym to zrobił. Poza tym powiedziałem ci o rzeczach, o których z nikim nie rozmawiam.

- W takim razie czuję się... zaszczycona. A poza tym... tak, to wszystko razem jest jednak dziwne. Dzieje się tak szybko, że czuję się podobnie jak wtedy, kiedy mój samo-

chód wpadł w poślizg. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie się zatrzyma. Kiedy to się skończy. Teraz... też czekam. Kiedy to się skończy? Jak?

- Może się nie skończyć, Caro...

- Jake! Do cholery! - krzyknął Dean z kuchni. - Może zjawisz się tu wreszcie! Kaka samo się nie zrobi. Ojciec nie zamierza pomóc, zgadza się być tylko nadzorcą. Jake!

- Zaraz tam będę!

- Nie zaraz, tylko teraz, jasne?!

- No już dobrze, dobrze.

TLR

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zgodnie z tradycją McCabe'ów ucztę świąteczną szykowały kobiety, mężczyźni zmywali. Tak było i tym razem, z tym że jednej z kobiet, czyli Caro, Doreen nie dała się do niczego dotknąć. Caro wcale nie czuła się z tym najlepiej, nie miała jednak wyjścia. Doreen była tu kapitanem.

Po skończonej uczcie mężczyźni zabrali się do brudnych naczyń. Kiedy Caro zauważyła, że Martin i Dean wymykają się już z kuchni, postanowiła sprawdzić, jak radzi sobie Jake.

Okazało się, że całkiem nieźle. Stał przy zlewie. Na lewo, na blacie piętrzyły się zwały brudnych garnków, garnuszków i talerzy. Na prawo w suszarce znajdowała się całkiem już pokaźna liczba czystych talerzy.

- A dlaczego tak sam? - spytała.
- Odplącili się za to kakao...
- Aha! Chcesz, żebym też czuła się winna?
- No... w pewnym sensie tak.
- Rozumiem. - Caro sięgnęła po ściereczkę do naczyń.
- Lepiej, żeby matka się o tym nie dowiedziała - mruknął Jake.
- Spokojna głowa. Nie pisnę ani słowa.

Pracowali w milczeniu. Caro brała z suszarki talerze, wycierała i odstawiała. Kiedy ostatnie sztuczki wylądowały w szufladzie i Jake zabrał się za wycieranie blatu, zdecydowała, że jej rola skończona, i usiadła przy stole.

Po chwili dołączył do niej Jake i powiedział:

- Dzięki.
- Nie ma za co. Przynajmniej tyle mogłam zrobić - odparła z uśmiechem.
- A tak na marginesie... Wyglądasz bardzo ładnie. Naprawdę.
- Dziękuję.

Po odzyskaniu toreb mogła wreszcie ubrać się normalnie. Włożyła jedwabną bluzkę w kwiatki, wąską spódniczkę i szpilki z wyciętymi noskami. Ta całość może i była trochę zbyt elegancka jak na święta w starym zajeździe, ale miała tylko takie rzeczy.

Eleganckie. Wendellowie przecież zawsze przebierali się do obiadu. McCabe'owie wyraźnie stawiali na luz, oprócz Jillian, która zażądała, by mama pozwoliła jej włożyć śliczną różową sukieneczkę.

Czy Truman i Susan pojechali do kościoła? Na pewno. I na pewno zabrali Cabota. Caro widziała już oczami wyobraźni synka, który wierci się przez całą mszę. Trzyletniemu dziecku naprawdę trudno usiedzieć w miejscu przez godzinę, a co dopiero tak ruchliwemu jak Cabot, na którego czekają w domu nowe zabawki i słodycze.

- A co cię tak rozbawiło, Caro? Uśmiechasz się przez cały czas.

- Bo myślę o synku. Jeśli Truman i Susan zaciągnęli go do kościoła, na pewno schował się już pod ławkę i zajada żelki.

- Jak to dziecko. Riley i Jillian pięciu minut nie usiedzą spokojnie.

- Niestety, matka Trumana tego nie rozumie. Uważa, że dziecko ma przez całą mszę siedzieć sztywno wyprostowane jak żołnierz.

- A jaki jest twój synek?

- Cabot jest przesłodki, zabawny, śliczny...

- A... rozumiem. Poza tym to najmądrzejsze dziecko na świecie.

- Oczywiście! Podejrzewam, że bardzo szybko nauczy się czytać. Poza tym ma niesamowite poczucie humoru. Śmieje się tak słodko... No tak...

- Ej, Caro! Głowa do góry! Będzie dobrze. Podobno góry przenosisz. Dałaś mi to wyraźnie do zrozumienia już podczas pierwszego spotkania.

- Och, Jake... Może gdybym się uparła, to którąś bym przeniosła, ale teraz na pewno nie. Czuję się taka zagubiona. Zdecydowałam, że spełnię warunki Trumana. Wrócę do niego, nie będę walczyć z nim i jego matką, bo nie mam za co...

- Caro, mówiliśmy o tym. Jedno twoje słowo i pieniądze się znajdą.

Wiadomo, chodziło o wsparcie finansowe ze strony Jake'a. Caro miała to przemyśleć. Szczerze mówiąc,

Jake również się nad tym zastanawiał. Dlaczego jej to zaproponował?

Może dlatego, że cała sytuacja była dla niego nie do przyjęcia. Zmuszanie Caro do powrotu do męża, od którego odeszła. A odeszła, bo go nie kocha. Była załamana śmier-

cią rodziców i facet to wykorzystał. Teraz zmusza ją do powrotu, a ona zamierza poświęcić się dla dziecka.

Poza tym jeszcze inne myśli chodziły mu po głowie, jedna z nich wyjątkowo przygnębiająca. Caro będzie żyła pod jednym dachem z jakimś facetem. Niby mąż, ale Jake i tak nie mógł się z tym pogodzić. Bardzo mu się podobała. I mimo tak krótkiej znajomości coś jednak już się między nimi wydarzyło. Czasami tak bywa. Ojciec kiedyś mu się zwierzył, że kiedy zobaczył Doreen na potańcówce w college'u, od razu wiedział, że to dziewczyna dla niego. Od tamtej chwili minęło czterdzieści lat, a uczucie rodziców nadal kwitło.

Ale ojciec, gdy poznał matkę, myślał już o stabilizacji. Jake - wcale. W jego życiu panował chaos. W tej chwili mógł zaproponować Caro tylko wsparcie finansowe, nic więcej.

Szczerze mówiąc, sam nie wiedział, czego naprawdę chce. Dzięki departamentowi policji i Mirandzie przez ponad rok żył w gniewie i bólu, ukrywając się w Vermoncie. Teraz coraz częściej zadawał sobie pytanie - co dalej? Wrócić do Buffalo i walczyć o dobre imię? Może nawet wrócić do pracy w policji, niekoniecznie w Buffalo, tylko gdzieś w okolicy. Jest i trzeci wariant. Dokończyć remont zajazdu i rozkręcić biznes.

Byłby wtedy blisko Caro... Owszem, ale też i nieskończenie daleko, jeśli Caro wróci do Trumana.

- Nawet jeśli wynajmę najlepszego prawnika, i tak mogę stracić prawo do opieki nad Cabotem - odezwała się półgłosem.

- Tak. Wszystko się może zdarzyć. Musisz zdecydować, czy warto podjąć to ryzyko.

Prąd włączono późnym wieczorem. Dzieci, zmęczone bieganiem po dworze i świątecznym jedzeniem, były już w łóżkach. Riley zasnął przed kominkiem, kiedy dziadek czytał mu bajkę na dobranoc. Jillian też już się oczy zamykały, dlatego nie protestowała, kiedy mama powiedziała, żeby dała już dziadkowi i wujkowi buzi na dobranoc.

Caro wzruszyła się bardzo, kiedy dziewczynka włączyła ją do tego wieczornego rytuału.

- Dobranoc - powiedziała słodko, cmokając Caro w policzek. - Tak się cieszę, Caro, że wpadłaś w zaspę niedaleko nas.

- Ja też się cieszę, skarbie.

- Jesteś dorosła, a umiesz się bawić. Chociaż śnieżkami rzucasz kiepsko.

- Popracuję nad tym - obiecała Caro z poważną miną. - Mam nadzieję, że udzielisz mi cennych wskazówek.

- Oczywiście - odparła mała, również z wielką powagą. - A wiesz, że gdybyś została żoną wujka Jake'a, byłabyś moją ciocią? Mogłybyśmy się często odwiedzać... I w ogóle...

Bonnie chrząknęła ostrzegawczo.

- Jilly...

- Ale mamo, przecież wujek Jake może ożenić się z Caro. A ja ją bardzo lubię, podobna mi się o wiele bardziej niż Miranda. Kiedy bawiliśmy się z Rileyem, Miranda zawsze mówiła, że boli ją głowa.

- Niektóre panie bardzo często boli głowa - powiedziała Caro.

- A ja słyszałam, jak tata mówił do mamy, że jest jeden sposób, żeby Mirandę nie bolała głowa. Dać jej porządnego ko...

W tym momencie dłoń matki skutecznie zatkała dziecięciu usta. Dean oczywiście rżał ze śmiechu. Jake zachował twarz kamienną, ale oczy mu się śmiały.

- Idziemy na górę - zarządziła Bonnie, chwytając dziewczynkę za rękę.

Kiedy Bonnie i Dean po ułożeniu pociech schodzili na dół, nagle rozbłysło światło. Wszyscy jak jeden mąż wydali z siebie okrzyk radości i Doreen natychmiast zarządziła:

- Przede wszystkim włączamy telewizor. Najważniejsze to prognoza pogody i sytuacja na drogach.

McCabe'owie zamierzali następnego dnia wracać do Buffalo.

- A co tam pogoda! - Martin, chwyciwszy pilota, przeskakiwał już przez kanały. - Najważniejszy jest hokej. Przecież dziś Buffalo gra z Toronto!

Dean szybko ulokował się koło brata na kanapie, obaj wbili oczy w telewizor.

Ostatnie słowo należało jednak do Doreen.

- Tylko dwadzieścia minut. Ani sekundy dłużej!

Kiedy Buffalo prowadziło trzema punktami, udało jej się wyrwać mężowi pilota i przełączyć na kanał meteo.

- Nie jest źle - oświadczyła po chwili. - Przyloty i odloty są trochę opóźnione, ale lotnisko już działa. Czyli jutro możemy wracać. Tym bardziej że drogi są już przejezdne!

- Cudownie! - zawołała Caro. Zachwycona, że jeśli samochód będzie sprawny, ona też może jutro ruszyć w drogę. Do synka, za którym tęskni.

Oczywiście! Dziwne jednak, że jej radość teraz nie była taka... stuprocentowa. Dlaczego? Mimo woli zerknęła na Jake'a. Patrzył na nią. Twarz jego była nieruchoma, ale spojrzenie... Spojrzenie, które przechwyciła, nadzwyczaj wymowne.

Następny dzień był równie piękny i słoneczny jak poprzedni. Caro zerwała się niemal o świcie. Bonnie i Dean pojawili się na dole wręcz nieprzyzwoicie późno, mało tego, podejrzenie zadowoleni. Ich pociechami, które wstały o wiele wcześniej, zaopiekowali się dziadkowie.

Linia telefoniczna nie została jeszcze naprawiona, ale Orville Gray, właściciel warsztatu, do którego dzwoniła Caro, zjawił się w zajeździe osobiście. Z jedną dobrą wiadomością - samochód Caro odholowano do warsztatu. I z jedną złą - w samochodzie niejedno było do wymiany, a on nie miał tych części.

- Pani samochód to stary model, poza tym wóz z importu. Mogę zamówić części, ale przyślą nie wcześniej niż za kilka dni.

Była zrozpaczona. Owszem. Truman dał jej czas do końca tygodnia, ale ona przecież nie mogła się doczekać, kiedy znów zobaczy synka!

Poza tym po wyjeździe McCabe'ów w zajeździe zostaną tylko ona i Jake, który właśnie zaproponował:

- Zawiozę cię do Burlington.

- Wykluczone!

- Moi goście wyjeżdżają dziś po południu. A my możemy ruszyć w drogę jutro rano. Już wcześniej mówiłem, że w razie potrzeby zawiozę cię, dokąd trzeba. Pamiętasz?

Tak, przypominała sobie. Takie rozwiązanie zaproponował jej już wcześniej, kiedy była zdesperowana. Szczerze mówiąc, teraz też nie czuła się lepiej. Rodzina wyjeżdża, zostaną sami.

I to naprawdę jest problem.

Samolot do Buffalo wylatywał z Montpelier dopiero późnym popołudniem, pozostałe okoliczne lotniska, jak na przykład w Burlington, były zamknięte. Drogi w Burlington też były w bardzo złym stanie, ludzi uczulano, żeby wyruszali w drogę tylko w nagłych wypadkach. Caro wcale nie była pewna, czy jej wyjazd z Jake'em następnego dnia rano dojdzie do skutku.

Caro, pożegnawszy się miło z rodziną Jake'a, odsunęła się taktownie na bok i patrzyła, jak Jake żegna się z najbliższymi. Ściskano się mocno, serdecznie, pocałunki były głośne, wzbogacone poklepywaniem po ramieniu. Doreen uroniła kilka łez, poza tym każdy z najbliższych wyrażał nadzieję, że Jake wkrótce zawita do Buffalo. Jake oczywiście zapraszał do siebie.

- A ja czekam na was tutaj. Przyjeżdżajcie! Koniecznie!

- Na pewno przyjedziemy - obiecał Martin, kładąc dłoń na ramieniu syna. - Jake, i jeszcze jedno. Jeśli zamierzasz osiąść tu na stałe, matka i ja będziemy się tylko z tego cieszyć. Ale nie zapominaj, że twoje miejsce jest w Buffalo. Wróć, kiedy chcesz. Nie wahaj się.

- O tak! - wykrzyknęła Jillian. - Wujku, możesz mieszkać razem z nami! Będzie super!

Riley, który jak zwykle nie chciał być gorszy od starszej siostry, wystąpił z konkretami:

- Wujku, wujku, poproszę tatę, żeby kupił do pokoju piętrowe łóżko! Jeśli chcesz, możesz spać na górze!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. A potem Dean, ze śmiertelnie poważną miną, postawił jednak pewien warunek:

- Dołożysz się, stary, do czynszu...

- Poza tym co drugi tydzień ty gotujesz i sprzątasz - uzupełniła Bonnie.

- Rzeczywiście, propozycja nie do odrzucenia - stwierdził Jake.

- Z tym że pierwszy tydzień gratis - dokończył Dean. - Bonnie i ja uwielbiamy gości, ale tylko przez tydzień. Rozumiesz, stary...

- Rozumiem.

Bracia roześmieli się i objęli serdecznie. Bonnie też nie mogła sobie darować, żeby po raz drugi nie wyściskać szwagra.

- I o nic się nie martw, kochany. Damy radę. Niech no tylko jakimś bubkowi znów przyjdzie do głowy zaczepić mnie i Jill, dam mu popalić.

- Nie wątpię!

Doreen, znów bliska łez, jeszcze raz wzięła syna w objęcia.

- Ja chcę tylko jednego. Żebyś był szczęśliwy. W Buffalo czy w Timbuktu, nieważne. I żebyś się w końcu pozbierał.

- Ale mam, ja naprawdę dochodzę do siebie. Uwierz mi!

- A wiesz, chyba rzeczywiście! Przed przyjazdem tutaj nie byłam pewna, ale teraz jestem dobrej myśli.

Potem wsiedli do wynajętego SUV-a i odjechali. Jake i Caro stali przed werandą i machali na pożegnanie. Caro dyskretnie ocierała łzy. Jacyż to kochani ludzie! Otwarci i serdeczni!

- Masz wspaniałą rodzinę, Jake.

- Wiem. Dobrze, że przyjechali, bo stęskniłem się za nimi.

- A oni za tobą. To widać.

- Caro, przecież zrobiłem to dla nich! Wyjechałem, bo liczyłem na to, że wtedy dadzą im spokój!

- Wcale cię nie krytykuję! Chcę tylko powiedzieć, że oni przede wszystkim bardzo boleśnie odczuwają twoją nieobecność. Czy ty im powiedziałeś przynajmniej połowę tego, co powiedziałeś mnie?

- No... nie. Z tobą jakoś wyjątkowo dobrze mi się rozmawia.

- Dziękuję, jednak wydaje mi się, że bliscy powinni to wszystko wiedzieć. Nie mam prawa się wymądrzać, ale...

- Ależ masz. Mów.

- Powinieneś być wobec swojej rodziny bardziej otwarty, zwłaszcza wobec rodziców. Poza tym uważam, że musisz wrócić do Buffalo. Zwołać konferencję prasową, podać do publicznej wiadomości swoją wersję wypadków. Ludzie muszą się dowiedzieć, że podano ci zły adres, a ty pojechałeś tam, dokąd ci kazano. To nie ty popełniłeś błąd.

Ukrywanie się, liczenie, że sprawa przyschnie... Nie, Jake, to nie jest rozwiązanie. Twoi najbliżsi myślą dokładnie tak samo. Nie potrafią pogodzić się z tym, że pozwoliłeś wygonić się z miasta.

- Nikt mnie nie wyganiał. Wyjechałem z własnej woli!

- Czyżby? Bo z tego, co od ciebie słyszałam, wynika, że nie miałeś wyboru.

Ojciec i Dean też przy byle okazji kładli mu do głowy, że zrobiono z niego kozła ofiarnego. Niby oczyszczono go z zarzutów, ale i tak odium spadło na niego, bo sprawy nie wyjaśniono do końca.

- Dlaczego ty się tym wszystkim przejmujesz? Jakbyś nie miała swoich problemów!

- Mam. Oczywiście. Ale... zależy mi na tobie, Jake. Tak. Zależy mi.

Jake, bardzo poruszony, wyciągnął rękę i objął dłonią twarz Caro, jednocześnie tocząc z sobą walkę. Aż się prosiło, żeby wziąć ją teraz w ramiona i pocałować. A tego przecież nie wolno mu było robić. Absolutnie.

- Ty byś nie zawiodła - powiedział cicho. O tak. Taka kobieta jak Caro na pewno zawsze stałaby po jego stronie.

- Przepraszam, ale o co...

- Nieważne. Mnie też na tobie zależy, Caro.

Wszedł do domu tylko po kozuch i od razu wyszedł. Do warsztatu, przede wszystkim po to, by znaleźć się dalej od Caro. Rodzina wyjechała, byli teraz sami. Tylko on i ona.

Od razu wziął się do roboty. Chwycił za dłuto i zaczął rzeźbić ornament w kawałku drewna, który miał stać się nowym gzymsem nad kominkiem w jego pokoju. Czyli w pokoju, w którym nocuje Caro...

I już rozpalona wyobraźnia zaczęła podsuwać wizję Caro owiniętej w białe prześcieradło. Caro kuszącej, którą chciało się pieścić, całować... Nic dziwnego, że w rezultacie operował dłutem i młotkiem tak energicznie, że kawałek drewna, który miał być nowym gzymsem nad kominkiem, nadawał się tylko do wyrzucenia.

Przez chwilę wpatrywał się w oba narzędzia tępym wzrokiem. Odrzucił je na bok, po chwili jednak podniósł i znów wziął się do roboty.

Niczego nie działał, tylko zmarł, ponieważ z tego wszystkiego zapomniał włączyć ogrzewanie. Nic dziwnego, kiedy tu wszedł, było mu po prostu gorąco. Z tych emocji.

Wrócił do zajazdu. Po wyjeździe licznej i hałaśliwej rodziny duży dom wydawał się jeszcze większy i przytłaczająco cichy.

Caro była w kuchni. Stała do niego tyłem, przepasana prowizorycznym fartuszkem, czyli ściereczką do naczyń. Zasłoniła się nią z przodu, rogi wsunęła za pasek granatowych spodni. Bardzo eleganckich, z granatowej gabardyny.

- Nie jesteś głodny? - spytała. - Podgrzałam to, co zostało z wczorajszego obiadu.

Oczywiście, że był głodny. Umierał z głodu, ale takiego, którego nie były w stanie zaspokoić szynka w miodzie, zapiekanka z zielonym groszkiem czy tłuczone ziemniaki. Tylko Caro.

- Dzięki, nie jestem głodny.

- Naprawdę?

- Zjem później. Teraz... teraz muszę coś naprawić w łazience w holu.

- Rozumiem. To może nałożę ci na talerz i przykryję folią.

- Dzięki.

Minął łazienkę, w której rzekomo miał dokonać naprawy, i po cichu wszedł na górę. Do swojego pokoju, gdzie w powietrzu unosił się delikatny zapach perfum Caro. Jedyny ślad jej obecności.

Jedyny? Nie. Zauważył małą fotografię w srebrzystej ramce ustawioną na nocnej szafce.

Cabot.

Trzymając w ręku zdjęcie, przysiadł na brzegu łóżka. Malec wyglądał uroczo, był bardzo podobny do matki. Caro wspominała, że Cabot śmieje się bardzo często.

Jaka matka, taki syn. Caro też śmiała się cudownie, choć chyba nie tak często jak jej synek. Odstawił zdjęcie na szafkę i odruchowo otworzył szufladę, w której chował dziennik. Nie, wcale nie zamierzał pisać, ale nagle odczuł taką potrzebę, by przelać myśli na papier.

Te najskrytsze, najważniejsze.

„Gdybyś był tutaj ze mną, należałyby Ci się ode mnie przeprosiny. Za to, że nie jestem dobrym wzorcem. Jestem zwyczajnym tchórzem. Kiedy wyjeżdżałem z Buffalo, byłem przekonany, że postępuję słusznie. Robię to, by chronić bliskich przed pomówieniami i agresją. Ale to nieprawda. Twój wuj ma rację. Stchórzyłem.

Nie mogę zapomnieć o tamtej kobiecie i jej córeczce. Wciąż mam przed oczami ich przerażone twarze. I to nie były jedyne niewinne istoty, których nie umiałem ochronić.

Zawiodłem jeszcze Ciebie.

Myślę, że gdyby chodziło tylko o moje dobre imię, zostałem w Buffalo. Na pewno nie byłoby łatwo, ale nie jestem facetem, który łatwo się poddaje.

Nie zostałem, bo dowiedziałem się o Tobie. Że byłeś i już Cię nie ma. Podwójny cios. Do poczucia winy doszła rozpacz, wtedy poddałem się. Uciekłem z Buffalo. Tak, to była ucieczka. Ale ból szedł za mną. Nie opuścił mnie, towarzyszył na każdym kroku. Bo ja nie pozwalałem mu odejść.

Nie chciałem Cię stracić.

Zawsze będziesz w moim sercu, choć w jakimś sensie musisz ode mnie odejść. Tylko wtedy odzyskam spokój. Nigdy o Tobie nie zapomnę, tak jak o tamtej kobiecie i jej dziecku. Jednak muszę pogodzić się z tym, czego nie da się zmienić. Nie można żyć przeszłością. W końcu to do mnie dotarło.

Do widzenia, mój aniołku. Do widzenia".

Łzy kapały na papier, rozmazując atrament. Ostatnie zdanie było prawie nieczytelne, tak jak pierwsze. Początek i zakończenie, taka kłamra spinająca całość.

Potem spokój.

- Jake?

Szybko otarł policzki i odwrócił się w stronę drzwi.

- Tak?

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale pomyślałam sobie, że powinieneś wiedzieć. Telefon już działa. Cudownie, prawda?

- Wspaniale. Możesz wreszcie zadzwonić do synka.

- Tak. Dzięki... Przepraszam, czy wszystko w porządku?

- Ależ tak, oczywiście. - Szybko zamknął dziennik. Zanim włożył go do szuflady, na moment przycisnął do serca. - Musiałem coś wpisać. Sprawy biznesowe.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Późnym wieczorem prawie bezszelestnie do salonu wsunęła się Caro. Jakiś czas temu poszła co prawda na górę, ale na łóżko nawet nie spojrzała. Nie miała najmniejszego zamiaru spać. Przeciwnie, przez kilka godzin niezmordowanie przemierzała pokój.

Sprawy biznesowe.

Tak powiedział, a kiedy na policzkach zobaczyła ślady łez, myślała, że serce jej pęknie. Przecież wiedziała, skąd ta rozpacz.

Jake stał przed kominkiem, odwrócony do niej plecami. Miał na sobie biały T-shirt i wystrzępione džinsy.

- Jake?

- O! Byłem pewien, że już od dawna leżysz w łóżku.

- Nie mogłam zasnąć. Jake, martwię się o ciebie!

- O mnie? Nie ma takiej potrzeby.

- Wiem, że cierpisz. Proszę, porozmawiajmy.

- Dobrze. A więc... kiedy weszłaś do pokoju, ja właśnie... coś kończyłem. Tak to można określić.

- Rozumiem.

- Prowadzę dziennik. Psycholog policyjny poradził mi, żebym zapisywał swoje myśli. Podobno to doskonały sposób na wyładowanie się. Nie posłuchałem go, dopóki nie dowiedziałem się, co zrobiła Miranda...

- Zacząłeś pisać...

- Tak. O dziecku, które istnieje tylko w moim sercu. Zastanawiałem się, czy byłby to chłopiec, czy dziewczynka. Jak by wyglądało, jaki miałoby charakter... Sporo tego napisałem... Dziś jednak doszedłem do wniosku, że muszę przestać. To nie była łatwa decyzja, ale według mnie słuszna. Nie można żyć przeszłością. Trzeba iść do przodu. Myślę, Caro, że ciebie też to dotyczy.

- Masz rację.

Stali twarzą w twarz w mrocznym salonie. W którymś momencie spojrzenie Jake'a przemknęło po całej postaci Caro, wtedy uzmysłowiła sobie, że po raz pierwszy prezentuje mu się w swoim własnym szlafroku, całkiem innym niż szlafrok Bonnie. Tamten był obszerny, skromny, ten jedwabny, koloru lawendy, z kołnierzykiem i mankietami obszytymi koronką. Pod spodem miała koszulkę nocną w tym samym kolorze.

Cienki, śliski materiał opływał jej ciało, poruszał się, pieścił przy każdym ruchu. Jak teraz, kiedy przestąpiła z nogi na nogę. Nadpalone polano w kominku nagle pękło, wyrzucając z siebie snopy iskier.

Świetliste punkciki przemknęły po gibkiej postaci otulonej w jedwab koloru lawendy.

- Jesteś przepiękna - szepnął.

Niecierpliwe dłonie odnalazły talię, usta odszukały jej usta. Pocałunek był jeszcze bardziej żarliwy niż poprzedniego dnia. I nic dziwnego, teraz smakował jak zakazany owoc.

Caro zatraciła się w pieszczocie. Prawie nie zauważyła, kiedy Jake rozwiązał pasek szlafroka, kiedy jedwab zsunął się jej z ramion. A kiedy jego palce przesunęły się po jej piersiach, prawie krzyknęła. Nie tylko z powodu rozkosznych doznań, lecz także z rozpaczy. Bo nie powinna im ulegać.

Caro drżała, z trudem powstrzymując się od błagalnego szeptu, by całował dalej, całował niżej. Była prawdziwą bohaterką, skoro właśnie teraz udało jej się wyszeptać:

- Jake, proszę, przestańmy...

- Tak. Wiem przecież. O Boże, jak ja bym chciał, żebyś była wolna...

- A gdybym była?

- To przede wszystkim... Chcę ciebie, Caro. Chyba się w tobie zakochałem... Proszę, idź teraz na górę i do samego rana nie wychodź z pokoju. Boję się, że może dojść do czegoś, czego potem oboje będziemy żałować.

Delikatnie objęła dłońmi pokryte zarostem policzki. Jake McCabe był bardzo przyistyjny, a wewnątrz miał jeszcze piękniejsze.

- Ja... ja chyba też się w tobie zakochałam, Jake. Jesteś wyjątkowym człowiekiem. Masz takie dobre serce. Bardzo chciałabym, żeby mój syn, gdy dorośnie, był taki jak ty.

- Idź już na górę, Caro. Bo jeszcze chwila i zmienisz o mnie zdanie.

Jazda do Burlington ciągnęła się w nieskończoność. Dla Caro fakt ten był powodem do zadowolenia, choć sama podróż była udręką. Każda minuta z Jake'em była bezcenna, jednocześnie jednak odległość dzieląca ją od męża, konsekwentnie malała.

Czuła się kompletnie zagubiona. I nie chodziło tylko o podjęcie ostatecznej decyzji, czy przyjąć pomoc finansową od Jake'a, ale o niego samego. Oboje zadeklarowali już się ze swoimi uczuciami. Jake poza tym dał wyraźnie do zrozumienia, że chciałby pogodzić się z przeszłością i zacząć nowe życie. Co dokładnie miał na myśli?

Oboje są na tak zwanym zakręcie. Czy kiedyś pójdą dalej razem, w tym samym kierunku? Nie wiadomo.

Droga prowadząca do posiadłości nad jeziorem Champlain była starannie odśnieżona. Sama posiadłość bardzo piękna, położona w urokliwym miejscu. Ale Caro nigdy nie czuła się tu jak w domu. Wśród tych artystycznie przystrzyżonych żywopłotów, pysznych kwiatów i trawnika, gdzie wszystkie źdźbła trawy musiały być dokładnie tej samej długości. Ten idealny trawnik ciągnął się aż do piaszczystego brzegu jeziora. Teraz wszystko przykrył śnieg.

- O, Caroline, witaj! - powitała ją w drzwiach Susan. - Cieszę się, że mimo tej smutnej przygody jesteś w niezłej kondycji. Truman opowiadał mi o tym wypadku. Jakież to niefortunne!

- Bardzo, proszę pani - wtrącił chłodno Jake, pojawiając się z obiema torbami na szczycie schodków. - Omal nie zginęła.

Susan spojrzała tylko na niego z ukosa, dalej zwracając się do Caro.

- Przepraszam, a kto cię przywiózł?

- McCabe. Jake McCabe - przedstawił się Jake, zanim Caro zdążyła otworzyć usta.

Pojawił się Truman. Jake wyciągnął rękę na powitanie. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, a Caro wyjaśniła sytuację.

- Mojego samochodu nie zdążyli jeszcze naprawić. Jest w warsztacie, dlatego skorzystałam z uprzejmości Jake'a, który przywiózł mnie do Burlington.

- A wszystko dlatego, że swojego mercedesa zostawiłaś tutaj - zauważyła Susan, Caro jednak puściła to mimo uszu i rozglądając się dookoła, spytała:

- A gdzie Cabot?

- Śpi - odparła Susan.

Truman natomiast nie odrywał oczu od Jake'a.

- Caro, a skąd znasz pana McCabe'a?

- Caro zatrzymała się u mnie na kilka dni - przekazał beznamiętnym głosem Jake.

- Pan McCabe jest właścicielem zajazdu - wyjaśniła pospiesznie Caro. - Ma bardzo miłą rodzinę, spędziliśmy razem święta.

- A zatem pan McCabe jest żonaty - stwierdził Truman z wyraźną ulgą.

- Nie. Rozwiedziony - sprostował Jake. Chyba ochoczo, jak oceniła w duchu Caro.

- Na święta zjechali do mnie rodzice i brat z żoną i dziećmi.

- A czy pan zawsze odwozi swoich gości, panie McCabe? Nawet do tak odległych miejsc? - spytała Susan.

- Trudno powiedzieć. Caro była pierwszym gościem w moim zajazdzie.

- Jake... to znaczy pan McCabe kupił ten zajazd niedawno - wtrąciła Caro. - Teraz robi generalny remont, był jednak tak miły, że mogłam u niego pobycć kilka dni. A teraz bardzo chciałabym zobaczyć Cabota.

- Powiedziałam, że śpi - oświadczyła oschle Susan. - Dziś obudził się bardzo wcześnie. Tak jest zresztą od kilku dni.

- Można go obudzić - stwierdził Jake. - Dziecko będzie szczęśliwe, kiedy zobaczy mamę.

Susan zaśmiała się bardzo nieprzyjemnie.

- O, proszę! Widzę, że masz obrońcę, Caroline!

- Ona woli, żeby zwracać się do niej Caro.

W innych okolicznościach Caro nie miałaby nic przeciwko temu, żeby Jake ustawił Susan do pionu. Teraz jednak było to tylko dolewanie oliwy do ognia.

- Przepraszam, a jakie jeszcze preferencje mojej żony zdążył pan poznać? - spytał Truman.

Odpowiedzi nie uzyskał, bo w tym momencie rozległ się radosny pisk. Wydał go chłopczyk, który nagle pojawił się na szczycie schodów.

- Mama! Mamusia!

- Cabot, syneczku!

Spotkali się w połowie schodów. Caro porwała malucha na ręce i zgmiotła go w uścisku.

- Mój skarb kochany! Czy wiesz, jak mama się za tobą stęskniła?!

- Mamo, a kto to jest ten pan? - spytał malec, wskazując paluszkami na Jake'a.

- To pan McCabe - powiedział Truman.

- Właśnie wychodzi - dodała skwapliwie Susan.

- Kochanie - powiedziała Caro do synka. - Przywitaj się z panem McCabe'em.

- Dzień dobry - powiedział nieśmiało chłopczyk i skinął główką.

- Cześć, Cabot! - powiedział Jake. - Twoja mama dużo nam o tobie opowiadała.

- A pan McCabe pomógł mamie, kiedy jej samochód ugrzązł w śniegu - dodała Caro.

Chłopczyk wtulił główkę w jej pierś.

- Mamusiu, proszę, już nigdzie nie wyjeżdżaj. Nie zostawiaj mnie.

- Nigdy, mój skarbie. Nigdy.

- To ja już się pożegnam z państwem. Caro, gdybyś czegoś potrzebowała. To znaczy... - Jake uświadomił sobie, że posunął się trochę za daleko. - No, jeśli zauważysz, że coś u mnie zostawiłaś, zadzwoń, a ja przy okazji to podrzucę.

Skinął wszystkim głową i wyszedł.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Minęły dwa miesiące i zajazd wreszcie zaczynał odzyskiwać dawny wygląd. Jake pracował dzień i noc, bez chwili wytchnienia, pragnąc stłumić niepożądane uczucia. Ogólną frustrację i niepokój w sercu. Sprawczynią tego stanu ducha była naturalnie Caro, za którą tęsknił rozpaczliwie. Brakowało mu jej śmiechu, wrażliwości, zrozumienia. Brakowało mu jej towarzystwa, brakowało jej też w sensie jak najbardziej fizycznym. Pościel, w której spała, wyprał już kilkakrotnie, a i tak mógłby przysiąc, że nadal pachnie Caro.

Kiedy Caro była tutaj, zajazd wydawał się inny, bardziej przytulny. Na początku myślał, że dzięki obecności rodziny. Ale nie, było to przede wszystkim związane z obecnością Caro.

To ona zmusiła go do powrotu z emigracji wewnętrznej. Dokonała tego, czego nie dali rady dokonać ani Dean, ani matka. Skłoniła go do powrotu do rzeczywistości. Był już gotów całkowicie zmienić swoje życie. Zastanowić się, co dalej, co jest dla niego osiągalne, a co nie.

Fakt, że ponowne spotkanie z nią jest nieuniknione, bo obiecała odezwać się w sprawie ewentualnej pożyczki, nie stanowił pociechy. Wręcz przeciwnie. To będzie rozdrapywanie ran. Jednak wiedział, że nigdy nie będzie żałować, że pewnego dnia podczas zamieci spotkał Caro Franklin.

W zasadzie już zaplanował przyszłość. Kończy remont zajazdu, uruchamia biznes i zostaje tu na stałe. W Vermoncie. Tu będzie jego dom, bo życie wśród majestatycznych gór bardzo mu się spodobało.

Jego dom... W związku z tym, niestety, bardzo często snuł fantazje, które wpędzały go w przygnębienie. Jak by to było, gdyby mieszkał tu z Caro i Cabotem. Z biegiem czasu rodzina by się powiększała... Odpędzał te wizje, jednak uporczywie wracały.

Czas mijał. Pewnego dnia, kiedy Jake wykończony całodzienną harówką zamierzał opaść na łóżko, odezwał się telefon. Dzwoniła Bonnie, jego szwagierka.

- Cześć, Jake. Myślałam właśnie o tobie, postanowiłam więc zadzwonić.

- I dobrze zrobiłaś. Co u was? Wszystko w porządku? Opowiadaj.

- Jasne! Jilly wypadł kolejny mleczak, a w poniedziałek Riley'a zakwalifikowano do szkoły. Tej jesieni może zacząć naukę. Kazali mu liczyć do dziesięciu, a on, oczywiście żeby się popisać, policzył po hiszpańsku! Wyobrażasz to sobie?

- Mądry dzieciak. Inteligencję ma po tobie.

- Oczywiście! Ale i tak kocham twojego brata! Wiesz, dziś przyszła pocztówka od Caro. Ona i Jillian korespondują ze sobą.

- Naprawdę?!

- Naprawdę. Pytała o ciebie. Była ciekawa, czy wróciłeś do Buffalo.

- Teraz nie ma takiej możliwości. Gonię z robotą. Nie poznałabyś zajazdu. Wszystkie pokoje odmalowane, na schodach nowy chodnik...

- A co z poręczą?

- Też nowa. Teraz nawet ja mogę po niej zjeżdżać. Poza tym zrobiłem nowe gzymsy do wszystkich kominków i skończyłem ostatni fotel.

Bonnie cicho gwizdnęła.

- No proszę! Ale pracuś! Jake, powiedz mi, tylko szczerze. Naprawdę ci się tam podoba?

- Tak.

- I rzeczywiście będziesz przyjmował gości?

- Tak.

- Sam?

- Oczywiście, że nie. Muszę zatrudnić parę osób.

- Jake, nie udawaj! Doskonale wiesz, że nie chodzi mi o twój przyszły personel, tylko o jedną konkretną osobę.

- Bonnie, przecież ona jest mężatką. Nie mogę do niej ot tak sobie zadzwonić i umówić się na wieczór...

- Przecież wiem, Jake. Tylko widzisz... Kiedy tak sobie pomyślę... przecież ona cię kocha! Wystarczyło na was popatrzeć!

- Sama musi podjąć decyzję, czy chce zostać z tym facetem. A ma wiele do stracenia.

- Prawo do opieki nad dzieckiem.

- Zgadza się. Dlatego to musi być jej decyzja.

- Rozumiem. Teraz czekasz. I to wszystko?

- O co ci chodzi?

- A o to, czy dalej będziesz tylko biegać z młotkiem po zajęzdie, kiedy Caro w Burlington musi podjąć taką ważną decyzję?

- Bonnie, ten zajazd jest dla mnie ważny. Nie rozumiesz? Przecież chciałbym mieć Caro coś do zaoferowania! Oprócz tego muszę koniecznie uporządkować kilka spraw. Wiesz, o co mi chodzi.

- Oczywiście! A więc na co jeszcze czekasz? Trzeba zrobić to jak najszybciej. Mnóstwo ludzi jest po twojej stronie i domaga się ostatecznego wyjaśnienia sprawy. Jake, proszę, nie odkładaj tego w nieskończoność. Po prostu powiedz mi, kiedy wreszcie zobaczymy cię w Buffalo!

Miała rację. Nie było sensu z tym zwlekać.

- W środę wieczorem jestem w Buffalo - postanowił nagle.

Oficjalne spotkanie Jake'a z urzędnikami z ratusza i dawnymi przełożonymi z Departamentu Policji w Buffalo odbyły się w czwartek, w godzinach porannych. Przedtem Jake spotkał się z kolegami ze swego oddziału. Powitali go entuzjastycznie, posypały się też zaproszenia na drinka. Ta życzliwość dawnych kumpli bardzo go podbudowała.

Kiedy już się zegnali, jeden z nich spytał:

- Jake, kiedy znów włożysz mundur?

- Na to nie liczcie, chłopaki - odparł bez żalu. - Ale nie zapominajcie o mnie. Zapraszam was wszystkich do siebie, do Vermontu.

W sali konferencyjnej czekało już na niego kilkusobowe gremium, złożone z burmistrza, szefa Wydziału Spraw Wewnętrznych, komendanta policji i Freda Hansa, prawnika miasta.

Pierwszy odezwał się komendant policji, Edwin Dash.

- Cieszę się, że znów cię widzę, McCabe - powiedział i zerknął na burmistrza Charlesa Kershera, który absolutnie nie sprawiał wrażenia zachwyconego widokiem Jake'a.

- Witam pana, kapitanie McCabe - powiedział chłodno.

- Dzień dobry, panie burmistrzu.

Dash odchrząknął i wskazał na ostatniego z mężczyzn siedzących przy stole.

- Bob Feldman z Wydziału Spraw Wewnętrznych. Mielicie okazję już się poznać...

- Tak. Przypominam sobie.

Bob uśmiechnął się i na powitanie uściśnął Jake'owi dłoń. Bob był człowiekiem bardzo dociekliwym, upartym, czasami trochę irytującym, jednocześnie jednak sprawiedliwym, o czym świadczył jego końcowy raport, w którym oczyścił Jake'a z zarzutów.

- Jake, w tym mieście nie brakuje ludzi, którzy mieli nadzieję, że nie wrócisz. Ja do nich nie należę - powiedział.

- Dziękuję, Bob.

Burmistrz sposepniał, tak samo prawnik, Fred Hans.

- Panie McCabe, jak pan dobrze wie, miasto przekazało już panu sporą odprawę. Ta suma nie podlega negocjacjom - oznajmił Hans.

- Panie Hans, nie zamierzam domagać się od miasta większej odprawy. Prosiłem panów o to spotkanie, ponieważ chciałbym, żeby wznowiono śledztwo w wiadomej sprawie - odparł chłodno Jake. - Zostałem oczyszczony z zarzutów, ale nadal nie wiadomo, jak to się stało, że przekazano mi fałszywy adres. Chcę wyjaśnić sprawę.

- Jake, przecież już to przerabialiśmy... - zaczął Bob, ale Jake mu przerwał.

- Odczytałem ten adres prawidłowo. Zdarza się, że ktoś w pośpiechu przestawi liczby albo pomyli ulicę. Ale ja, powtarzam, dostałem zły adres. Odczytałem go prawidłowo. Pojechaliśmy, gdzie kazano, i w rezultacie zginęła kobieta i jej dziecko. Młody policjant, który oddał te fatalne strzały, odebrał sobie życie. Takie są fakty. A ja chcę wiedzieć, co naprawdę się wydarzyło.

- Proszę pana - odparł prawnik - miasto wspierało pana zarówno podczas śledztwa, jaki i po jego zakończeniu. Był pan wtedy na urlopie płatnym. Poza tym zwołano konferencję prasową, żeby podać do publicznej wiadomości wyniki śledztwa.

- Owszem, bardzo dobrze pamiętam tę konferencję prasową, podczas której podano do wiadomości publicznej wyniki śledztwa, według mnie niewystarczające. Bob, ja nie

podważam raportu. Tylko zastanawiam się, czy czegoś jednak nie pominięto, ponieważ uwaga wszystkich skupiona była na mojej osobie...

- A na kim w końcu miała się skupić? - rzucił gniewnie burmistrz.

- Dowodziłem tą akcją, dlatego nie uchylam się przed odpowiedzialnością. Jednak należy ustalić, kto popełnił błąd, człowiek czy komputer, by w przyszłości uniknąć takich sytuacji.

- Może faktycznie należy się temu jeszcze raz przyjrzeć - stwierdził Bob. - Przyznam, że czułem wtedy pewien niedosyt. Nie zdążyłem rzetelnie przesłuchać wszystkich zamieszanych w to osób. Ale naciskano na mnie, bym jak najszybciej zakończył dochodzenie... - Bob zawiesił głos i spojrzał na burmistrza.

Burmistrz sposepniał i spojrzał na komendanta policji.

- Dopóki nie będziecie mieli nic konkretnego, media nie mogą o niczym wiedzieć - powiedział burmistrz.

Po spotkaniu Jake postanowił dalej dążyć sprawę. Komendant policji i Bob, zatrudnieni przez miasto, mieli obowiązek zastosować się do poleceń burmistrza. On już tego obowiązku nie miał, dlatego następnego ranka zwołał konferencję prasową. Ogłosił, że nie zamierza dłużej milczeć. Zginęli niewinni ludzie, ich bliscy ponieśli niepowetowaną stratę, dlatego sprawę trzeba wyjaśnić do końca.

Po raz pierwszy w życiu był zadowolony, że jest tak oblegany przez dziennikarzy.

- Nie dotykaj tego, Cabot! - krzyknęła Susan histerycznie, kiedy chłopczyk wyciągnął z piasku kawałek zbielałego od wody drewnianka.

Susan siedziała na patio razem z Trumanem. Jedli lunch na świeżym powietrzu. Co miało sens, ponieważ ten wrzesień był wyjątkowo ciepły. Caro razem z Cabotem spacerowała po piaszczystym brzegu jeziora Champlain.

- Przecież nic mu się nie stanie! To tylko kawałek drewna - zawołała do teściowej. A do synka: - Będziemy udawać, że to statek piracki.

- Caro, niech on nie grzebie w piachu! Nie wiadomo, co znajdzie!

- Na pewno muszelki - mruknęła Caro.

A teściowa krzyczała dalej:

- Na pewno teraz cuchnie rybą! Natychmiast weź go do domu i umyj mu ręce!

Truman złożył gazetę, odłożył na bok, wyraźnie szykując się do wyrażenia swojej opinii.

- Mama ma rację. Ostrożność nigdy nie zawadzi. Tam może być pełno zarazków.

Od chwili powrotu Caro nic się nie zmieniło. Truman nadal ją szlifował, a mama-
sia rządziła.

- Pamiętaj, weź mydło antybakteryjne! - poinstruowała synową.

Oczywiście Caro wcale nie zamierzała zawracać sobie głowy mydłem antybakteryjnym. Mało tego, przemyciła spłowiałe drewnienko do domu. Cabot zaczął się nim bawić, a ona chciała zadzwonić. Wiadomo, do kogo. Tamtego dnia, w marcu, kiedy wróciła do tego domu, miała wielką ochotę pobiec za Jake'em, błagać go, by zabrał i ją, i Cabota.

Oczywiście nie zrobiła tego. Schowała dumę do kieszeni, buzię zamknęła na kłódkę i ze względu na Cabota wsiadła do tej łódki. Niestety, w łódce zbierało się coraz więcej wody, a ona nie miała już siły jej wylewać. Wkrótce pójda na dno...

Zebrała się na odwagę i szybko wystukała numer, który podał jej Jake. Po kilku sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka.

- Połączyli się państwo z Zajazdem Druga Szansa w Blakefield w Vermoncie. Niestety, z powodu remontu zajazd jest jeszcze zamknięty, ale już w październiku czekamy na miłych gości. Prosimy odwiedzić naszą stronę WWW, gdzie znajdą państwo dokładne informacje na temat atrakcji turystycznych w tej okolicy oraz ceny pokoi, które można zarezerwować przez internet.

Caro, choć rozczarowana, że nie usłyszała głosu Jake'a, uśmiechnęła się. Jake wykorzystał szansę i otwiera zajazd. Cudownie!

Spojrzała na synka. Siedział na podłodze i popychał drewniany „piracki statek”, który pruł przez fale dywanu z Aubusson.

Och Boże! Oddałaby teraz wszystko za kryształową kulę, w której mogłaby zobaczyć przyszłość. Co przyniesie? Nie wiadomo.

Ale spróbować trzeba...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jake zmiatał suche liście z frontowej werandy. Kiedy w pewnej chwili usłyszał warkot samochodu, pomyślał, że to kolejny dostawca. Pojawiali się tu teraz jeden za drugim, ponieważ uroczyste otwarcie zajazdu zbliżało się wielkimi krokami.

Spojrzał przez ramię. Nie, to na pewno nie samochód dostawczy, tylko coś niedużego. Stary model, a kierowca dziwnie znajomy. To... Nie, niemożliwe! Nie wierzył własnym oczom. Z tego wrażenia aż musiał oprzeć się o miotłę.

Przecież to Caro!

Uśmiechnął się, szczęśliwy jak nigdy. Nie mógł się doczekać, kiedy porwie ją w ramiona. Już odliczał sekundy, gdy nagle zauważył chłopczyka śpiącego na tylnym siedzeniu. Wtedy oprzytomniał. Spokojnie. Caro ma męża, ma swoje życie w Burlington.

Ułożyło jej się, wypada więc tylko cieszyć się jej szczęściem. Dla dziecka taki układ jest najlepszy. Tak, wypada się cieszyć, niestety jest z tym pewien problem. Serce Jake'a jeszcze się nie wykurowało po chorobie o imieniu Caro. Nadal jej pragnął. Chciał mieć ich oboje, Caro i jej synka. Mieć ich tylko dla siebie.

- Witaj, Jake! - zawołała wesoło Caro, wysiadając z samochodu.

- Jaka miła niespodzianka!

- Przepraszam, powinnam była wcześniej zadzwonić. Uprzedzić cię.

- Nic nie szkodzi - powiedział, zaglądając do samochodu. - Mały zmęczony jazdą?

- O tej porze zawsze śpi.

- Jak się chowa?

- Wspaniale. Rośnie jak na drożdżach. Podczas ostatniej wizyty u pediatry zmierzili go i okazało się, że przekroczył górną granicę wzrostu dzieci w jego wieku... - odparła Caro, zerkając na zajazd. - Byłam pewna, że już otwarte!

- Jeszcze nie, dopiero za kilka dni.

- Podoba mi się nazwa. Zajazd Drugiej Szansy. A wiesz... słyszałam o twojej konferencji prasowej.

- Podawali w wiadomościach w Vermoncie? Niemożliwe!

- Nie, przeczytałam o tym w internecie. Było kilka artykułów na twój temat. Napisali, że śledztwo zostanie wznowione.

- Tak. Jak na razie do niczego konkretnego nie doszli, ale teraz przynajmniej, kiedy mówi się o błędzie człowieka, nie wskazują od razu na mnie.

- Och, to dobrze!

- Wreszcie miałem możliwość porozmawiać w cztery oczy z mężem tamtej kobiety. Prawnik mi to odradzał, ale ja się uparłem.

- I co powiedział?

- Powiedział, że już wybaczył. Dawno temu, wybaczył też młodemu policjantowi, wszystkim, którzy brali udział w tej obławie. Bo nie wolno karmić się nienawiścią. I wiesz... - Jake odchrząknął. - Po tej rozmowie jakoś łatwiej mi dość do ładu z samym sobą. Postanowiłem też wybaczyć Mirandzie...

- Och, Jake, jak się cieszę! - Caro ścisnęła go lekko za ramię. - Cieszę się, bo wreszcie sprawiasz wrażenie człowieka, który odzyskał wewnętrzny spokój. Czy tak jest naprawdę, Jake?

- Zasadniczo tak.

Caro znów spojrzała na zajazd.

- Wygląda wspaniale. I z zewnątrz, i w środku. A wiem, co mówię, bo weszłam na twoją stronę w internecie.

- Bonnie wpadła na ten pomysł.

- I bardzo dobrze.

Jake pokiwał głową i się uśmiechnął.

- Twój pomysł też zrealizowałem.

- Mój? Nie pamiętam.

- Chodziło o to, kto ma siedzieć w recepcji...

- Ładniutka? Milutka? No to nic dziwnego, że macie już tyle rezerwacji.

- Nie łudź się. Połowę pokoi zarezerwowała moja rodzina... - Jake zmiotł parę liści, żeby zająć czymś ręce. - Caro, a dokąd właściwie jedziesz?

- Do Montpellier. Wyobraź sobie, dostałam pracę! W tej szkole publicznej, w której już kiedyś pracowałam! Co prawda w niepełnym wymiarze godzin, ale...

- Caro, czy ty...

- Tak! Odeszłam od Trumana. Tym razem nieodwołalnie. Chcę wystąpić o prawo do wyłącznej opieki nad Cabotem.

- Chcesz pożyczyć pieniądze?

- Nie ukrywam, że tak. Zgoda?

- Jasne. Nie ma sprawy.

- Dzięki. Jake, i jeszcze jedno. Bo widzisz... - Musiała być zdenerwowana, bo lekko zadrżała. - A więc... Jake, powiedziałeś mi kiedyś, że zakochałeś się we mnie. Czy to... nadal jest aktualne?

- Jak najbardziej!

Miotła błyskawicznie poszła w kąt, oparł ją o poręcz schodków na werandę. Żeby móc wreszcie przytulić Caro. Głupia miotła zsunęła się na dół, metalowa rączka uderzyła o poręcz schodków. Głośno. Mały Cabot w samochodzie poruszył się niespokojnie, otworzył oczy.

- Mamo, mamoo! - spytał zaspanym głosem. - Gdzie jesteśmy?

Odpowiedział Jake.

- Razem z mamą jesteście tam, gdzie powinniście być, Cabot. Ze mną.

EPILOG

Trochę to trwało, zanim słowa Jake'a zostały wprowadzone w czyn. Przez cały rok Caro mieszkała z synkiem w niewielkim, ale wygodnym mieszkaniu w Montpelier. Nie miała nic przeciwko temu, żeby poczekać. Chciała lepiej poznać Jake'a, co było bardzo istotne, bo przecież ich uczucie narodziło się błyskawicznie! Teraz, po dwunastu miesiącach, miała już całkowitą pewność.

W tym czasie Jake i Cabot mieli możliwość poznać się i żyć. Obserwowanie tej pary było zawsze cudownym przeżyciem. Jake wykazywał się anielską cierpliwością. Widać było, że uwielbia rozmawiać z chłopczykiem, pokazywać mu różne rzeczy, że nie może się doczekać, kiedy przekaże mu wszystko, czego nauczył go jego ojciec. Cabot miał już swój własny pas z narzędziami i wiedział, jak nazywają się poszczególne piły, których Jake używa w warsztacie.

Z zapelnieniem pokoi zajazdu nie było problemu. Rzadko kiedy zdarzało się, żeby podczas weekendu któryś z pokoi był wolny, a teraz, jesienią, kiedy cały Vermont ustroił się w najpiękniejsze barwy, goście dopisywali. Powstała nawet lista oczekujących.

Rodzina Jake'a bardzo często przyjeżdżała z Buffalo. Od razu pokochali Cabota. Został honorowym członkiem klanu McCabe'ów, zanim Caro uzyskała rozwód.

Nie tylko rozwód, lecz także prawo do całkowitej opieki nad synkiem. Dzięki pieniądzom pożyczonym od Jake'a mogła wynająć znakomitego prawnika.

- Zmieniłaś się, Caroline - stwierdził Truman, kiedy spotkali się na rozprawie.

- Może i tak, ale niewiele. A ty wreszcie zobaczyłeś mnie taką, jaka jestem naprawdę. A nie taką, jaką chciałeś mnie widzieć.

Truman wtedy spochmurniał. Ta uwaga okazała się punktem zwrotnym w jego postępowaniu. Przede wszystkim przestał grozić, że będzie walczył o odebranie jej dziecka. Susan, oczywiście, podburzała go, ale bezskutecznie. Po raz pierwszy w życiu Truman sprzeciwił się woli matki.

Przez ten rok Jake trwał wiernie przy Caro. Cierpliwy jak mnich.

I znów pewnego dnia przed zajazd zajechał niewielki samochód, stary model. Jake i Cabot byli na dworze. Cabot bawił się w stosie zagrabionych liści. Zanosił się śmie-

chem. Jake śmiał się razem z nim. Caro trudno było uwierzyć, że kiedyś uważała Jake'a za ponuraka.

Jednak na jej widok od razu spowaźniał. Czekał z niecierpliwością na jej powrót z sądu. Mogła oczywiście zadzwonić, ale uznała, że tak ważną wiadomość należy przekazać osobiście.

Kiedy tylko wysiadła z samochodu, Cabot z radosnym okrzykiem przypadł do jej nóg.

- Mama!

Przez chwilę wszyscy troje bawili się suchymi liśćmi, potem Caro powiedziała synkowi, żeby pobiegł do kuchni i poprosił panią kucharkę o coś do picia.

Kiedy zostali sami, Jake spytał:

- No i jak?!

- Mam rozwód i prawo do pełnej opieki nad synkiem! - oznajmiła. - Truman, oczywiście, będzie się z nim widywał, w co drugi weekend i niektóre święta.

- Nie będzie ci to przeszkadzać?

- Ależ skąd! Miałabym zabronić ojcu widywania syna?

- Słusznie. Chociaż ja też go kocham jak własnego syna. Tak będzie zawsze.

- Wiem. I za to też cię kocham. A poza tym... - Caro przechyliła głowę - chciałam cię o coś zapytać.

- Pytaj.

- Kiedy możemy wziąć ślub?

- Czy to oświadczyzny? - spytał, biorąc ją w ramiona.

- Owszem. I z niecierpliwością czekam na odpowiedź. Kiedy wreszcie będę mogła zostać panią McCabe?

- Im szybciej, tym lepiej - odparł. - Im szybciej, tym lepiej!

